№ 17. Warszawa, dnia 16 (28) Kwietnia 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

UJAZDÓW.

Pod tym tytułem *Kolce* pismo humorystyczne w N-rze 14 pomieściło artykuł p. Chochlika, obrazujący niby lud warszawski. Drobną tę pracę Kuryer Poranny pochwalił a nawet jedną z niej scenę przedrukował, nazywając szczególniej udatną. Nie ma wątpliwości, że życia w niej wiele, tylko... prawdy ani odrobiny. Są to jakby waryanty na temat ułożone z góry, z celem wyszydzenia i ośmieszenia ludu, dokonane z zupełną jego nieznajomością. Występują więc naprzód szewcy i krawcy i ni ztąd ni zowąd, nawymyślawszy sobie od kondli i hołoty, rozchodzą się życząc aby jedni nie przełknęli porteru a drudzy pokręcili karki na młynie dyabelskim. Gdzie autor widział podobnych szewców i krawców, trudno odgadnąć. Następnie idą dwie służące rozprawiające o spodziewanem spotkaniu z kawalerem. Jedna z nich powiada, że *jakosik* jej nieraźno, że się kruszynę *wstyda*; druga radzi jej napicie się pieprzówki i ręcząc za spotkanie się z oczekiwanym dodaje przypuszczenie, że tylko w takim razie nic spełniłby przyrzeczenia, gdyby się spił jak bela i usnął gdzie pod ławą. Druga o to rozgniewana nazywa ją nieobyczajną powiadając, że on pija tylko *białoperczową*. Ztąd znów powstaje kłótnia; zarzucają sobie zbytnią *zadufałość*, uraźliwość jak krosta na nosie, lecą przezwiska koczkodana, pomiotły, flądry, salówki, kończące się pobiciem jednej przez drugą. Ma to być, jak Kuryer Poranny powiada, scena najudatniejsza. Biedne sługi warszawskie, cóż zawiniły autorowi że je przedstawił tak potwornie, że kazał im kłócić się o kochanków pijaków i przekręcać poufałości na *zadufałość*, a białą pomarańczówkę nazywać *białoperczówką*.

W następnej rozmowie dwóch facetów i dumaniu starej damy w kapeluszu z piwonią, dowcipu nie ma żadnego, ale przebija przynajmniej wierne uchwycenie głównych rysów indywiduów tego rodzaju. Widać że autor stany te dwa zna dość wyczerpująco.

Rozmowa mieszczan o spodziewanej a tak upragnionej kanalizacyi, w czasie zabawy ludowej nie stanowi charakterystycznego rysu zebrań podobnego rodzaju.

Żebrak proszący o grosik z dodatkiem że od miesiąca nic w ustach nie miał, nie jest prawdziwym. Miewa on swoją komiczną stronę, ale inaczej zupełnie się przedstawiającą, zgodną z wiarą dających jałmużnę w skuteczność przyobiecanej modlitwy, i z jego umiejętnością wyzyskiwania tej wiary na swoją korzyść. Żeby zaś miał tak bezczelnie żartować z publiczności z której żyje, na to mu własny interes nie pozwala.

Majster od karuzeli, wołający: niech państwo *siadajom*, *zara* odjeżdżamy, partya tylko *dychię*: najlepiej dowodzi, że autor tak mało zbadał tę część zabawy ludowej, iż nawet nie wie, że cena jednej przejażdżki tylko piątkę kosztuje. Wreszcie w Warszawie *nikt siadajom* nie mówi i *nigdy* nie powie że na coś wydać trzeba *dychię* tylko dychę.

W dłuższej nieco rozmowie Majstra z żoną, sprzeczających się o dobre piwo, po którem małżonek ma ochotę napić się wódki, występuje terminator upatrujący w figurach na budzie wymalowanych, podobieństwo do *Majsztra* jak go nazywa i Majstrowej, za co przezwany zostaje szczeniakiem, bałwanem, z zagrożeniem dziesięciu odlewanych w domu i nie dania nigdy ani szperki, ani chleba ze szmalcem. Terminatorzy wprawdzie warszawscy, są sprytni i często dowcipni, ale i czuli niezmiernie na niełaskę swoich pryncypałów, i nie śmiałby żaden wystąpić ze zdaniem włożonem przez autora w usta młodego chłopca, który z szyderczem: *bu-u-u!* odpowiada na wyrzeczoną groźbę. W dowcipie chłopców rzemieślniczych, naiwność główną odgrywa rolę, która zbadana, przedstawiona właściwie i zestawiona z uwagą ich przełożonych, często równą zalecających się naiwnością, staje się dopiero prawdziwie komiczną. W obrazku zaś autora nie przebija ani szczypta naiwności tylko szyderstwo chłopca ze świadomością dokonaną. Czyż to może być prawdziwem?

O ostatniej rozmowie reporterów niewiele co można powiedzieć. Sprzeczka ich w kłótnią przechodząca, który z nich postrzegł pierwszy spadające dziecko z huśtawki i tem samem ma prawo do tej wiadomości dla swego dziennika, jest wielce niesmacznym wyrobem ubliżającym pracownikom gazeciarskim, których zabieg i mozół wart lepszego ocenienia.

Oto jest w krótkości zobrazowanie artykułu p. Chochlika w Kolcach zamieszczonego. Podniesienie go może zdziwi niejednego, ale idzie mi o jego następstwa.

Kolce ozdobione udatnemi, a często bardzo dowcipnemi rysunkami, są czytane i przez tych, których tak wyszydziły niemiłosiernie. Czyż to może się im spodobać, czy nie obudzi niechęci do sprawców doznanej przykrości a przez nich i do całej klasy wyżej od nich stojącej? Zarzucamy Niemcom niesprawiedliwość sądu jaki o nas głoszą, nieznajomość naszego ducha i charakteru w przedstawianiu nas ciągłem za pół barbarzyńców, a tego samego dopuszczamy się względem własnych braci otaczających nas tak rojną gromadą. Do poznania człowieka, powiada przysłowie, zjedzenie z nim beczki soli nie wystarcza, ileż ich trzeba spożyć aby poznać lud cały społeczność naszą składający.

Źle się dzieje w rodzinie żyjącej w zupełnym rozbracie, nigdy nie będzie dobrze tam, gdzie o tę spójnię nie dbając z dziwną lekkomyślnością jakby rozmyślnie drą ją i rozrywają w kawały. Patrząc na te rany własną zadawane ręką, serce ból ściska a dusza popada w zwątpienie. Zapomniano, że szlifierz dyament przemieniający na brylant, nie nadaje mu przymiotów których nie posiadał, tylko

zamknięte w nim wydobywa i uwydatnia. Tym dyamentem jest lud z którego wyrośliśmy wszyscy: szorstki on, ciemny, nieokrzesany, ale ma w sobie zasoby wszystkiego dobrego, wszystkich cnót jakiemi się zalecamy i odpowiednio do okoliczności, występuje z niemi na jaw w formie zgodnej z jego prostotą i stosunkiem łączącym go z nami. Poznać je należycie, formę tę uchwycić i zobrazować wiernie, oto zadanie jedyne jakiem piszący o ludzie przejąć się powinien.

Wprawdzie, wedle dzisiaj upowszechnionych pojęć nawet publicznie głoszonych, takie zobrazowanie dodatniej strony ludu, nazwano idealizowaniem, poetyzowaniem, jakby szkołą z dawnej sielankowości wyrosłą. Przedstawianie zaś w szorstkiej powłoce, wstrętnej, brutalnej, uznano za realność wysnutą z czystej prawdy, wolną od ckliwego marzycielstwa. I głos ten powtórzony przez liczne usta znalazł nawet poklask wielu, a jednak... jest mylnym i niczem nieusprawiedliwionym. Kto chce poznać ujemną stronę ludu, niech zajrzy do archiwum sądów kryminalnych, do szynków przepełnionych zapijającą się zgrają, niech nadsłucha krzyków i przekleństw kłócących się, wrzasku bijących, a zaznajomi się w ciągu dnia niemal jednego z tem co w nim jako brzydkie wstręt obudza.

Do poznania jednak dobrego w ludzie nie tak się łatwo przychodzi. Ukryte ono w rodzinnych kółkach, w myślach, dumaniach, we wzajemnych zwierzeniach się, wreszcie w czynach zwyczajnego codziennego życia, do których ani policya, ani oczy przechodniów nie mają przystępu. Chcąc je poznać, trzeba podsłuchać, podpatrzeć, wyszperać, wybadać i powtarzać to ciągle, przez dni, miesiące i lata, niczem się nie znużyć, nie zniechęcić, nie zrazić, a przede wszystkiem kochać lud, wierzyć w jego człowieczeństwo i umieć patrzeć na żywot jego zdala się od nas rozwijający.

Trudna to droga i niezmiernie mozolna, nie każdy chce się jej poświęcić, mamy też wielu pisarzy lud obrazujących ale znających go rzeczywiście mniej bez porównania. Jednostronność nie jest znajomością, i jeżeli wyłącznie dodatniej stronie ludu poświęcona słuszną obudza niewiarę a nawet pewną ckliwość, to w ujemnym rozwijana kierunku w inteligencyi społecznej wyradza wstręt a w masach nienawiść.

Cóżbyśmy np. o pisarzu powiedzieli, któryby wszystkie nasze jedynie wady, ułomności, błędy podnosił i natchnąwszy je życiem posiadanego talentu, chciał wszystkich przekonać że to jesteśmy my ze skórą i kośćmi w całej prawdzie naszej wartości. Czyż oburzeni słusznie, nie powstalibyśmy z głębi poruszonego serca na taką niesprawiedliwość, oskarżając autora o paszkwil i oszczerstwo. Chwile takiego zniecierpliwienia obrazy własnej godności, zdarzały się u nas nieraz i jeszcze często zdarzają, mimo tego tej samej winy dopuszczamy się względem najliczniejszej warstwy naszego społeczeństwa, i to co ją ośmiesza w opisie lub szyderstwem ohydza, nazywamy realnością, a co podnosi i wystawia w ludzkiej postaci, marzycielstwem poetycznem.

Uwielbiamy pieśni ludowe, zachwycamy się ich melodyą jakby płynącą z naszego serca i duszy; prostota słowa do nich użytego podziw wzbudza, a rzewność i serdeczność w nich rozlana ujmuje; więc są poeci żyjący w ubożuchnych chatach, są marzyciele których duch gwałtem rwie się od ziemi i w piosnce lub słowie szuka ulgi dla swojej tęsknoty. Niechże jednak taki poeta lub marzyciel wystąpi w jakiem opowiadaniu, to zewsząd odezwą się krzyki na brak prawdy i przesadę. Jakaż to straszna sprzeczność! Któż zatem tworzy te arcydzieła poetycznego ludu natchnienia?

Niedawno Gazeta Polska pomieściła Szkice węglem Litwosa napisane z talentem bardzo wiele obiecującym. Jest w nich wszystko co tylko dobrego pisarza znamionuje: życie, łatwość, dar spostrzegawczy i umiejętność schwycenia głównych rysów postaci wprowadzonych do opowiadania. Brak tylko jednej rzeczy najniezbędniejszej, oto choć malutkiego dowodu że się ma z ludźmi do czynienia, a nie ze zgrają tak nizko upadłą, że co dobre, co ludzkie nawet jej z nazwiska nieznane.

Echo w listach pustelnika podpisanych Alf Omega, obszerniej mówiąc o tej pracy Litwosa i powstając na kierunek w niej przybrany, słusznie bardzo powiada:

W tem przedstawieniu wszystkich prawie składowych pierwiastków naszego społeczeństwa, z wyjątkiem jedynie mieszczan, czem jest u autora nasz lud? Bezmyślną zgrają pijaków i łotrów.

Czem są nasi obywatele ziemscy? Egoistycznymi apatystami, równie bezmyślnie żywot wiodącymi.

Czem jest nasze duchowieństwo? Starzy, to idyoci, młodzi, to arlekiny.

Czemże jest wreszcie nasza młodzież i nasze dziewice? Młodzież i dziewice, to także bez serc i myśli istoty.

Wywód ten jak najsprawiedliwszy: Szkice też węglem Litwosa czytają się z takim wstrętem, że tylko przymuszając się można je przeczytać do końca. Jakiż jednak może być powód tak czarnego poglądu na naszą społeczność i tak poniżającego ją przedstawienia? Duch czasu, odpowiedzą zapewne niektórzy, który po ciężkich przebytych doświadczeniach, zerwawszy ze wszystkiem co go od ziemi odrywało, zbratał się z realizmem i w nim jedynie szuka ratunku na swe biedy i niedostatki. Jest to rozwiązanie kwestyi ale tylko połowiczne. Realizm to *prawda* tak pożądana przez każdego, a czy można ją przyznać Szkicom węglem Litwosa? Czyż w stanach wprowadzonych do opowiadania, nie ma nic dobrego coby równoważyło złe jeśli je nie przeważało? Jest więc inny powód, a tego szukać należy w zbyt pohopnem rwaniu się młodych talentów do obrazowania tego czego jeszcze żadnym sposobem znać nie mogą. Złe samo wpada w oczy bez pracy i studyów odpowiednich, jeden rzut oka ożywionego talentem spostrzegawczym wystarcza tu zupełnie. Poznanie dobrego w warstwach społecznych objawiające się na zewnątrz w formie rzeczywiście charakteryzującej je, zdobywa się tylko długiemi studyami przez długie także lata prowadzonemi. Na to młodzi pisarze nasi nie mając ani czasu ani cierpliwości, biorą się do rzeczy łatwiejszej i obrzucają błotem społeczność, nie bacząc że i siebie niem obrzygują. Ile to szkody przynosi, łatwo się domyśleć; talenta marnieją a do czytelników dochodzi fałsz zamiast prawdy i wyrabia równie fałszywe pojęcia w skutkach swoich bardzo szkodliwe. Czas już wielki aby się choć troszkę upamiętano. Czy to nastąpi? Trudno na to odpowiedzieć. Pisarze podobni jak Litwos, przybrawszy raz kierunek dla pracy swej tak apatyczny, podobni są do zbłąkanych podróżnych, zmuszonych długo krążyć po manowcach zanim trafią na właściwą drogę. Zmarły Wielogłowski najlepszym tego dowodem. Był on w pracy swej, według dzisiejszego wyrażenia, realnym najzupełniej, czyli obrazującym lud jedynie ze strony najwstrętniejszej. Kiedy chciał zmienić ten kierunek i zabrał się do przedstawienia dodatnich postaci, już nie odpowiedział swemu zadaniu. Były one piękne ale nieprawdziwe, wiał z nich jakiś przymus, sztuczność, nienaturalność wykazujące jasno, że je nie odtworzył z rzeczywistości ale z własnej głowy. I nie mogło być inaczej, znał tylko lud z ujemnej jego strony, dobra była mu zupełnie obcą a do poznania jej brakło mu najważniejszego czynnika — miłości. Jego też obrazek Franek pijanica, przeczytany raz służbie parobczej w pewnej wiosce przez jej dziedzica, wywołał pomiędzy słuchaczami ogólne niezadowolenie, a jeden z nich Bartosik ściskając ręce zawołał: tym ciarachom to widać brakło roboty bo się nas chycili. Żebym tego pisarza co to napisał dostał do swej garści, to by ja go nauczył rozumu.

Oburzenie to, za którego prawdziwość poręczam, najlepiej świadczy jaką szkodę przynoszą całej społeczności podobne wyroby literackie. A przedstawiają się one nietylko w książkach szczególniej dla ludu zalecanych, ale zjawiają się i na scenie. Np. Chłopi arystokraci Anczyca, komedya ta napisana z niezaprzeczonym talentem, bawi i rozwesela, ale jakież to szczęście że lud nie bywa w teatrze. Wysłuchawszy szyderstwa z siebie tak zręcznie ułożonego, musiałby równem gniewem zawrzeć, jak Bartosik wspomniany powyżej, a czy ten cel jest przedstawień teatralnych? Gdyby lud dziwnym jakim trafem urządził teatr, i na scenie jego przedstawiał surdutowców jako wierutnych głupców pychą oszołomionych, cóżbyśmy powiedzieli o twórcy podobnego paszkwilu? A jednak komedya Chłopi arystokraci miała powodzenie; chwalono ją, oklaskiwano i gdyby dziś wróciła na scenę, z równym zachwytem zostałaby z pewnością przyjętą. Gdyby pan Anczyc choć troszeczkę lud kochał nigdyby podobnej pracy nie przygotował: typ pyszałka chłopskiego wcisnąłby w swój utwór, ale otoczyłby go postaciami jasno świadczącemi, że jak pomiędzy nami tak i pomiędzy ludem pyszałkowatość czy też arystokracya do śmieszności posunięta, nie doznaje uznania i nie stanowi głównego ludu charakteru. Wartość komedyi niczby na tem nie straciła a nawet zyskała na prawdzie a to zdobycz niemała. W takiej szacie niechby szła od wsi do wsi, niechby jej słuchała cała ludność miejska, taką zaś jaką jest, oby nigdy kinkiet scenicznych nie ujrzała.

Otóż i wygadałem się z tego co mi już tak dawno na sercu leżało. Wiem że głos mój będzie grochem na ścianę, głosem wołającego na puszczy, że na podniesieniu go wyjdę jak Zabłocki na mydle.

Zaczepić Kolce zalecające się niemałym dowcipem, dotknąć współpracownika ich p. Chochlika, powstać na kierunek pracy tak utalentowanych pisarzy jakim są pp. Litwos, Anczyc i ś. p. Wielogłoski, jest to włożyć palce w szparę drzwi i potem dziwić się że je pochrobotano. Cóż jednak było robić kiedy gorączka obrony pokrzywdzonych piekła i paliła, kiedy ból serce ściskał czytając szyderstwa z tych z których tylko umiemy wyśmiewać się nic nie robiąc prawie do ich podnoszenia. Niechże więc spadną gromy na moją już dobrze spracowaną głowę, poddaję ją z pokorą pod cierniste Kolce wszystkich ich pracowników umiejących dobrze rąbać we wszelkiej zaczepce. Ciosajcie na niej kołki panowie krytycy i humoryści, nie żałujcie drwin i żartów, ośmieszcie w karykaturze, wyszydźcie, nazwijcie mnie niepoprawnym marzycielem, ideologiem wreszcie majakiem w malignie, tylko... nie krzywdźcie ludu jednostronnem przedstawianiem złej jego strony z pomijaniem dobrej, i starajcie się go tak poznać jak ja poznałem a przekonacie się, że w opuszczeniu w jakiem zostaje, odsunięty prawie zupełnie od wszelkiego źródła oświaty, znajduje się w nim jeszcze tyle dobrego że niejednego zawstydzić może.

Wiem że prawda choć jasna niełatwo ruguje uprzedzenie. W pierwszej chwili może uśmiechniecie się z politowaniem nad zaślepieńcem starego weterana pióra, ale pomału jestem pewny że przyjdzie czas, iż przyznacie mi słuszność i choć wspomnieniem poczciwem wynagrodźcie krzywdę dziś wyrządzoną.

J. K. Gregorowicz.

Do E. P. młodego Artysty

(wyjeżdżającego w dalekie strony dla kształcenia się).

Lecisz Orle w obce kraje,
Po nad sioła po nad lasy;
I opuszczasz, jak się zdaje,
Nas na bardzo długie czasy.

Orle młody, tyś szczęśliwy,
Że się wzbijasz tak wysoko;
Masz pod sobą świat życzliwy
Chmur zaś sięga twoje oko.

Żądza sławy pierś rozpiera,
Głowa cudne tworzy plany;
A w twem sercu się zawiera,
Ogień ci od Boga dany.

Lećże, lećże coraz wyżej,
Po nad lasy, po nad sioła,
Coraz szybczej, coraz chyżej,
Nikt wyprzedzić cię nie zdoła.

My zaś inne ptaszki biedne,
Co nie mamy twojej siły;
Tu zostając same jedne,
Myślą będziem cię goniły.

Czasem za krajem stęskniony,
Gdy spoczniesz na skale w lesie;
Gołąb biały z naszej strony
Listek w dziobie ci przyniesie.

Lećże więc już coraz wyżej
Po nad lasy, po nad sioła;
Coraz szybczej, coraz chyżej,
Nikt wyprzedzić cię nie zdoła.

Julia K.....

PAN MICHAŁ

POZYTYWISTA WARSZAWSKI.

Studyum z natury Ignacego Pstrokońskiego.

(Dalszy ciąg).

Po rozstaniu się z Marynią, pan Michał w pierwszej chwili był zły jak indor: później rozżalony i melancholiczny, nawet wzdychający, po kilku dniach znacznie się uspokoił, a w tydzień siedząc rano przy herbacie myślał sobie:

— A tom się o mało nie załapał. Jak to człowiek nigdy sobie dowierzać nie powinien, i ja com taki rozważny i umiejący nad sobą panować, chciałem palnąć kapitalne głupstwo. Dzieweczka ananasik, wdzięku i rozumu co niemiara, gdybym tak miał ze trzydzieści tysięcy rocznego dochodu, dziśbym się z nią ożenił, ale przy mojej wiosce niewielkiej, żenić się z ubogą panną to czysta waryacya. Przewidująca jednak, niech ją Bóg kocha. Nazwała to kaprysem, widocznie byłem pod jego wpływem. Niech co chce będzie, żal mi przecież tak miłej, powabnej i rozsądnej żonki. Niby to wprawdzie drożyła się, niby wzdragała, ale znamy się na podobnych figielkach. Nie ma ubogiej panny, któraby nie poszła za każdego mającego byt przyzwoity, aby tylko na prawdę z chęcią swą małżeństwa wystąpił. Mają wprawdzie i panny swoje kaprysiki, ale i one spadły z niebiosów na grunt realności. Stanisław... jakaż to figura niepocieszna, jakiś tam kancelista czy rachmistrz bankowy. Gdzież jemu ze mną się porównać! Widocznie ma się ku niej... czyżbym ustąpił?

Ostatnie to zapytanie z pewnem oburzeniem i głośno zostało wymówione.

Zerwał się z kanapy, przebiegł pokój kilka razy, zmiętosił kilka papierosów i znowu uczuł robaka zazdrości co się wciskał w niego nieznacznie i całą przejmował istotę.

Co dalej działo się z panem Michałem, nie będę szczegółowo opisywał. Było to rzucanie się i szamotanie zazdrości, gniewu i niezadowolenia. Marynia myśli jego na chwilę nie opuszczała, miał ją zawsze przy sobie i w każdej chwili, rozważał osnowę prowadzonej z nim rozmowy, rozbierał głoszone przez nią zdania i rozumowania i co najważniejsza... uznawał w nich słuszność.

— Jest to wprawdzie zawsze egzaltacya, poezya, mówił sobie, ale zawsze z gruntu realnego wydobyta. Taka żona choć nieposażna, może jednak uszczęśliwić. A gdybym... ej Michałku ostrożnie, niech rozwaga...

Otóż znów rozwaga, która mi już tyle złego narobiła, mówił dalej po chwili przestanku. Trzeba się namyśleć.

Pan Michał zaczął zatem myśleć, rachować, obliczać, sumować dochody, wydatki odejmować i jakoś zawsze rachunek ze znakiem mniej wypadał. Wziął się zatem do wydatków, jedne cyfry wymazał, drugie poobcinał i tak nareszcie uregulował, że zamierzone wydatki nietylko nie przewyższały dochodów, ale nawet do nich nie dochodziły.

— Otóż teraz dobrze, pomyślał patrząc na cyfry. Jej to winienem, to jej dzieło, niechże więc i owoce z niego do niej należą. Ożenię się, przecież i fortuna moich rodziców coś znaczy.

Czy zaś Marynia go zechce, o tem nawet nie pomyślał. Czyż uboga panienka mogła go odrzucić? Gdy jednak przyszło orzech zgryźć, znowu zaczął wahać się i namyślać. I tak biegł tydzień za tygodniem, bywał tu i owdzie, przypatrywał się pannom, przybliżał się do nich, rozmawiał, żartował, a Marynię ciągle miał w myśli.

Wreszcie po upływie jeszcze dni kilkunastu, kiedy sam nie wiedział na pewne, czy ponowić oświadczenie czy się jeszcze zatrzymać i szukać do tego sposobności, spotkał przypadkiem Marynię jadącą z matką dorożką. Uśmiechnęła się do niego, za ukłon odpowiedziała ukłonem bardzo przyjaznym, Pan Michał ten uśmiech i spojrzenie uchwycił w przelocie i stał długo patrząc w uroczą panienkę, aż powóz zakręcił w ulicę i znikł mu z przed oczów. Po obiedzie poszedł na kawę na zwykłą gawędkę, ale był milczący: później przechadzał się po ogrodzie, ale w każdej niewieściej postaci zdawało mu się że Marynię postrzega. W teatrze nudził się, wyszedł w połowie przedstawienia, od znajomych u których bywał najczęściej, zwrócił się od drzwi samych gdy już miał za dzwonek pociągnąć. W domu zabrał się do czytania, przebiegał kartki nic nie rozumiejąc, przechadzał się potem i dumał a gdy układł się na spoczynek o Maryni przemarzył noc całą.

Dziwnem się może wyda takie wahanie pana Michała, taki brak silnego postanowienia w kwestyi wyrozumowanej starannie, w której raz już przezwyciężył siebie a potem uległ i sam sobie robił wyrzuty. Było to jednak zupełnie naturalne: przeciw prawom rządzącym ludźmi wystąpienie z własną wolą, naraża na ciągłą walkę tym straszniejszą im prawo to silniej zostanie obrażone. Michał kochał Marynię, gdy zdawało mu się, że poślubienie jej od niego zupełnie zależy; miłość swą potrafił trzymać w karbach woli i nie dopuścić jej ostatecznego rozwoju. Obawa straty ukochanej miłość tę wzmogła, przejęty jej urokiem uległ czarowi młodej dziewicy, odmowa zaś jakiej nawet nie przypuszczał, miłość dość słabą pierwiastkowo rozwinęła do ostatecznych granic i pan Michał uczuł się prawie pokonanym. Ale w walce podobnej choć prawo natury bierze górę, czynniki jednak powołane do boju nie dają za wygrane. Odzywają się one przy każdej sposobności; najdrobniejszą okoliczność podnoszą aby usprawiedliwić swoją działalność, drażnią, niepokoją, ztąd to dziwne wahanie się i brak stanowczości. Michał też był w ciągłem rozdwojeniu z samym sobą, każdego dnia zmieniał postanowienie, robił ciągłe ustępstwa w warunkach przez niego za niezbędne uznanych przy zawieraniu związku małżeńskiego, wreszcie postanowił wszystko poświęcić dla uczucia któremu poznał że się oprzeć nie potrafi.

Poszedł zatem do domu rodziców Maryni. Nie zastał jej, wyszła z ojcem za jakiemiś sprawunkami. Rozmawiając z matką zdziwioną jego odwiedzinami, przypominał sobie tak malowniczo opisane przez nią szczęście domowego pożycia, ich miłość niczem nie osłabioną, ich wesołe wieczorne pogadanki, i tak się w tym obrazie zanurzył, że skromne umeblowanie pokoiku do biedy bardzo zbliżone, zdało mu się być przeniesione w jakąś zaczarowaną krainę, z której urocza wróżka tylko co wyfrunęła. Doczekał się wreszcie jej powrotu, przyjęła go uprzejmie, z rozpromienioną twarzą, jakby domyślająca się powodu przybycia i przygotowaną do urzeczywistnienia jego zamiaru! Michał zadowolony przyjęciem nie wątpił już o powodzeniu.

— Namyśliła się, szepnął sobie w myśli. Rzecz więc skończona, żenię się i kwiatek ten ziemski do mnie należeć będzie.

Rozweselony ożywił się, rozmowa szła gładko, dowcip sypał się jak z rękawa, panienka dopomagała, ojciec wtorował, matka śmiała się, dość że choć w ubogim saloniku i przy skromnym niezmiernie posiłku, złożonym z herbaty i sucharków groszowych, panowała swoboda niczem niezamącona i zadowolenie tak serdeczne, że Michał może pierwszy raz w życiu uczuł szczęście, o jakiem dotąd nie miał wyobrażenia. Szukał więc tylko sposobności otwartego rozmówienia się z Marynią: wkrótce nadarzyła się.

— Mam wielką prośbę do pani, rzekł zbliżając się do niej i pragnąc ująć rękę której jednak mu nie podała.

— Prośbę? powtórzyła. Czy pan usłuchawszy mojej rady, masz nas zaprosić na wesele?

Pan Michał zbity z tropu zmieszał się i wybąkał niezrozumiale:

— Tak jest, i to zależeć będzie od pani woli zrobić mnie najszczęśliwszym z ludzi.

— Od mojej woli? Nie rozumiem.

— Panno Maryanno, już mi raz przebacz i przeszłość puść w zapomnienie. Kocham panią, zrobię wszystko co każesz, zapiszę ci połowę mienia mego, nawet całe, byleś tylko z ręki mojej przyjęła ofiarę. Nie odpychaj mnie, rodziców weźmiemy do siebie, mam wioskę niewielką ale bez długów, w domku skromnym urządzimy równie skromne życie i będziemy szczęśliwi byleś ty w nim chciała królować. Oddam się cały pracy, wyrzeknę się świata, jego ponęt ułudnych i poświęcę się tobie wyłącznie, aby urzeczywistnić marzenie twojej duszy panno Maryanno i stworzyć świat w jakim żyją twoi rodzice. Dać mi tę przyszłość do której tak wzdycham i tak jej pragnę, od twojej wyłącznie woli zależy. Masz w ręku pani mój los, możesz mnie uszczęśliwić lub skazać na wieczny żal i tęsknotę. Jeżeli każesz, czekać będę tak długo na twoje postanowienie jak sama uznasz, tylko nie odmawiaj bezwarunkowo bo,

to byłoby okrucieństwem z twej strony, zwłaszcza, jeżeli mnie zbyt nie uwodzi miłość własna, nadzieja twojej życzliwości dla mnie ma pewną uzasadnioną podstawę. Skłonności serca nie tak łatwo dają się rugować. I cóż panno Maryanno?

Marynia całej tej mowy wysłuchała w milczeniu ze spuszczonemi oczami. Gdy się zwrócił do niej z zapytaniem, spojrzała na niego z pewnem współczuciem i odrzekła z powagą tak jej właściwą, szczególniej w podobnych wypadkach jak tu stanowczych.

— Stawiasz mnie w przykrem niezmiernie położeniu. Ostatnia nasza rozmowa w podobnej materyi przeprowadzona była łatwiejszą, bom była przekonaną że ją wywołał doraźnie powzięty zamiar, którym bardzo się kłopotać nie należało. I nie omyliłam się w tem przypuszczeniu, dziś postać rzeczy zmieniła się. Przemawiasz z prawdziwem uczuciem o rozbudzenie którego winić mnie nie możesz. Dziwię się mu ale szanuję. Gdybyś w pierwszem u nas bywaniu zakończył był je podobnem przemówieniem, być może że przyjęłabym je chętnie, dziś panie Michale za późno. Skłaniając się do twego życzenia popełniłabym kłamstwo któreby cię nie mogło uszczęśliwić, czy mogłabym to zrobić?

— Czekać więc będę aż i serce twoje pani przemówi, przerwał Michał znowu napróżno szukając ręki ukochanej.

— To na nicby się nie zdało...

— Więc masz pani wstręt do mnie? Powiedz otwarcie...

— Nie panie Michale, przyznać tego nie mogę, boś nie spełnił nic takiego coby wstręt do ciebie obudzić mogło. Powiedziałeś, że skłonności serca niełatwo dają się rugować, prawda, ale gdy raz zostaną wyrugowane już nigdy nie wracają jak kartka z książki wydarta i zniszczona. Ja właśnie jestem w tem położeniu, skłonność znikła bez śladu, bo jej nie rozszerzyło prawdziwe z pańskiej strony uczucie. Zostaliśmy więc przyjaciołmi, poprzestańmy na tem, a pan dasz najlepszy dowód swej dla mnie życzliwości, jeżeli starać się będziesz zapomnieć o biednej dziewczynie, która pragnąc jedynie serca tylko także serce ofiarować może.

— Panno Maryanno, odezwał się Michał drżącym głosem, pozwól żebym odpowiedzi twej nie uznał za ostateczną. Rozmów się z rodzicami, naradź się, namyśl. Jestem jedynakiem, mienie rodziców stanie się kiedyś moją własnością, położenie więc moje majątkowe nie jest do pogardzenia.

— Prawda, ale jestem jedną z tych dziwacznych i upartych duchów, które w majątku nie widząc jedynej rękojmi szczęścia, szukają go w świecie z pieniądzem zupełnie rozbratanym. Świat ten pragnę uzyskać, jeżeli zdobędę go, Bogu serdecznie za dar ten podziękuję, jeśli nie stanie się moją własnością, równą wdzięcznością przepełni się moje serce, żem się ustrzegła sideł tak łatwo innych wikłających. Pan, panie Michale, widocznie jesteś w ich mocy, skoro mnie ofiarami swego majątku chcesz dla siebie zniewolić...

— Cóż za przypuszczenie...

— Zaprzeczasz, więc ci wierzę najzupełniej, a na dowód mej życzliwości, jedyny jaki ci mogę ofiarować, powtórzę radę raz już udzieloną. Oto rozbudź w sobie serce i szukaj serca, a gdy znajdziesz taką, której z prawdziwem uczuciem będziesz mógł zrobić wyznanie swojej miłości i odbierzesz równie zapewnienie przywiązania, żeń się natychmiast choćby z panienką jak ja ubogą. Oto ostatnie moje słowa w przedmiocie tym wymówione, który proszę aby nie był więcej podnoszony. Byłyby to daremne usiłowania, od czego radabym i siebie i pana raz na zawsze uwolnić.

Michał wybiegł z pomieszkania rodziców Maryni tak rozstrojony, że zapomniał kaloszów a stróżowi za otwarcie furtki zamiast dziesiątki złotówkę ofiarował. Przez kilka dni był cichy, milczący jakby pognębiony, czwartego dnia zaczął się dąsać, później gniewać, i przez zemstę postanowił ożenić się choćby z kozą, jak piosnka opiewa, byle bogatą.

Zaczął więc starać się o rozszerzenie swych znajomości, bywał po różnych domach, wciskał się wszędzie gdzie czuł posażne panny, zalecał się nawet, nadskakiwał, a Maryni jednak nie mógł zapomnieć. Urok który rzuciła, mimo dąsów, gniewań i przekleństw, wzmagał się i straszliwie dokuczał. Chciał wyszukać drugą taką choćby podobną i nie mógł tego dokazać. Zapomniał, że Marynia była wyjątkową panienką dla niego, że z podobnem sercem i główką aczkolwiek znaleźć nietrudno pomiędzy naszemi dziewicami, ale miłość prawdziwa, pierwsza, niemal święta, w uroczej szacie poetycznego zachwytu zjawia się raz w życiu człowieka, jak wiosna w ciągu roku, która minąwszy już nie wraca. W wyborze też zastępczyni znalazł niemałe trudności; jeżeli panna trafiała do jego przekonania, to posag był za mały; jeżeli cyfrę jego uznawał za dostateczną, to panna znów nie była taką jak pragnął: jeżeli zaś i jedno i drugie znalazł zgodne ze swojem życzeniem, już był ktoś inny, który go uprzedził. Słowem nie wiodło mu się, Marynia była zawsze miarą porównawczą, według której sądził inne i ustanawiał cyfrę posagową. Pomału jednak przyciszył uczucie przynajmniej o tyle, że nie czuł udręczeń żalu z doznanego zawodu. Nawet, powróciwszy pod przewagę czysto materyalnych pojęć, czuł pewne zadowolenie że z Marynią stosunek został zerwany.

Pan Michał nie zrobiwszy nic w Warszawie, przeniósł się na wieś, ale zanadto był już rozpróżniaczony, zanadto czuł się rozumnym aby wieś mogła mu smakować. Przepatrzywszy panny w całej okolicy, wszystkim miał coś do zarzucenia i znowu powrócił do Warszawy gruntowniej jeszcze przekonany, że panna bez posagu choćby najbardziej podobająca się, choćby urocza jak czarodziejka, jest podobna do pysznego kwiatu w cieplarni wyhodowanego, który chcąc posiadać potrzeba być albo sknerą umiejącym potrzeby swoje przepołowić, albo bogaczem nie kłopoczącym się nigdy o grosz i tylko potrzebującym sięgnąć ręką aby go ze szkatuły wydobyć. Na tych jednak małżeńskich zabiegach schodziły mu lata, Marynia także za mąż nie wychodziła, wiedział o tem dobrze, słyszał że jej na wielbicielach nie zbywało, ale był pewny, że do małżeństwa z którym z nich nie przyjdzie i że panna na panieństwie się zestarzeje.

— Dobrze jej tak, mówił sobie, dziś zapewne mniej jest hardą, ale nie złapie mnie już drugi raz. Niby to rozumna i wygadana, a nędzną sobie przygotowała p rzyszłość. Ciekawym jak teraz zapatruje się na teoryą szukania szczęścia w bezwzględnej miłości. Panienka pewno dobrze kręci główką i wzdycha. Nie stanę się twoim pocieszycielem, o nie! nigdy!

Kto wie jednak czyby tej roli nie przyjął na siebie chętnie. Miłość do ukochanej nie wytlała w nim do ostatniej iskierki, upór w połączeniu z pychą nie dały jej zagasnąć i tak ciągle wskrzeszały życie, że gdyby ktoś stał się pośrednikiem i przygotował pojednanie z Marynią, z pewnością ukochaną poprowadziłby do ołtarza. Mężczyzn z taką nieznużoną nicem uporczywością nie jest wielu, ale zdarzają się podobne jednostki szczególniej wierzące, że panna bez posagu winna chwytać pierwszego lepszego co się nawinie.

Wreszcie pan Michał ukończył lat trzydzieści pięć i nie ożenił się, Marynia lat dwadzieścia sześć i nie wyszła za mąż. Pan Michał już kilka razy spotkał się z zawodem w zamierzonych małżeństwach; Marynia coś trzem kawalerom odmówiła.

— Co ona myśli? myślał sobie skrzętnie zawsze zbierający wiadomości o losie ukochanej. Czyby na mnie czekała?

W tym czasie także, przez śmierć rodziców, Michał odziedziczył wioskę po nich, mająteczek więc miał wcale okaźny, dochody znaczne, domową klateczkę ślicznie urządzoną, tylko w niej brakło ptaszka coby w niej świegolił miłośnie. W miarę tak wybór stawał się coraz trudniejszy, choć wymagania znacznie obniżył, ale za to pewność swojej niepospolitej wartości podrosła znacznie z przekonaniem, że co powie jest mądrością, co zrobi doskonałością, a co pomyśli nowością o jakiej świat dotąd nie marzył. Wstrętne to niezmiernie dojście do takiego upadku moralnego! Wpada w niego każdy, co zerwawszy ze wszystkiem co za nim pozostało, patrzy tylko na dziś i na jutro najdalej. Pan Michał był jednym z nich, stał się zatem wstrętnym i dlatego i małżeńskie jego plany nie chciały się żadnym sposobem urzeczywistnić. Przystępował do ich przeprowadzenia ze zbytnią ufnością w siebie, z pewną dumą, jakby z przekonaniem że robi poświęcenie a wybranej łaskę. To naturalnie żadnej pannie ceniącej godność swoją podobać się nie mogło, pan Michał więc brał harbuza po harbuzie i przy każdym z nich kilkanaście włosów ubywało, a na czoło kilka przybywało zmarszczek. I tak dobiegł czwartego krzyżyka życia do połowy: troszkę stracił na świeżości cery, zaokrąglił się w objętości, troszkę przyświecał łysiną, troszkę stetryczał i nabrał nawyknień starego kawalerstwa, ale nie wątpił w szczęście do panien i każdą niefortunną o ich rączkę wyprawę, tak umiał sobie wyjaśnić i wytłomaczyć, że nie panna mu odmówiła, tylko on rozmyślił się i porzucił.

Kiedy jednak skończył rok trzydziesty piąty, a był wtedy na wsi i przechadzał się samotnie po obszernem mieszkaniu dworku rodzicielskiego, w którym urodził się i wychował otoczony miłością matki i opieką ojca gotowych na każde jego skinienie, taki go opanował smutek, tak wielką uczuł tęsknotę za gwarem życia już bezpowrotnie przebrzmiałego, że westchnął i w oku jednem jakby łza zaświeciła. Otarł ją wprawdzie prędko, ale wrażenie pozostało.

— Nędzny świecie? mówił w myśli. Dajesz pragnienie a nie zaspakajasz je: mówisz o duchu a wszystkiem ciągniesz do siebie. Gdzież szczęście o którem prawią filozofowie?

Jakby na odpowiedź w wyobraźni jego stanęła Marynia urocza, z pogodnem czołem i owym blaskiem w oczach, tak wymownym i pociągającym. Uśmiechnął się i twarz ukochanej równym umiliła się uśmiechem: wyciągnął ręce, przytulił ją do piersi, wpatrzył się i uczuł się tak dziwnie wzruszonym, tak przejętym nieznanem sobie uczuciem, że drgnął jakby pod działaniem elektrycznego prądu. Zerwawszy się zaczął szybko przebiegać po pokoju.

— Czyżby to była odpowiedź? zapytał sam siebie. Czyżby miłość rozbudzona zmysłami, bo taki jej początek, miała być szczodrzejszą w darach swych, niż świat cały ze wszystkiemi ponętami jakie ofiarować może? Czyżby istota ziemska podniesiona w wyobraźni do daru nadprzyrodzonego, miała być talizmanem rozwiązującym wielkie pragnienie szczęścia z jakiem każdy na świat przychodzi? Wszak jest tak rzeczywistą istotą jak ja, jak każdy mnie podobny, a gdzież nam bratać się z ideałem! Jeżeli więc kochająca w wybranym swym przecenia jego wartość i widzi to czem nie jest właściwie, to i kochający w ocenie swej ukochanej myliłby się

i własną marę brał za rzeczywistość. Czyżby zatem miłość miała tu zastępować wszystko i przymykając oczy na ziemskie naleciałości widziała tylko ideał własnego wyrobu?

— Być może, szepnął po chwili. Nudzę się, trawię, świat mi powszednieje i wszystkie jego rozkosze przesyt i niesmak obudzają. Gdyby w tej samotni, dzieliła los mój ukochana, gdyby w tych ścianach pustką świecących rozlegał się jej głos dźwięczny, ożywiał gwar rozmowy tak rozumnej i powabnej, gdybym w każdej chwili był pewny jej obecności, zamiany myśli, pokrzepienia, porady, pociechy...

— Próba była długą, mówił po małej przerwie. Szukałem i nie znalazłem równej jej, nawet podobnej choć cokolwiek. To powinno ją przekonać o trwałości mego uczucia, obudzić wiarę w stałość mego dla niej usposobienia i przekonać żeśmy przeznaczeni dla siebie. Wyboru dotąd niezrobiła, jam także wolny, musiała pozostać w niej choć iskierka tej skłonności, o której mi wspominała, kiedy ze szkodą swej przyszłości, czeka napróżno na urzeczywistnienie postanowienia tak bezwzględnie zrobionego. Jadę więc jutro do Warszawy: stanę przed nią z tem samem sercem z którem do niej raz ostatni przemówiłem, tylko więcej jeszcze ożywionem i bardziej kochającem. Prawdę mego uczucia oceniła wówczas jak na to zasługiwało, tym większą nada mu dziś wartość taką nacechowane wytrwałością. (*d. n.*)

DRAMAT NA MORZU.

Osnuty na tle angielskiej powieści Oliviera Madox-Brovn p. n. „Czarny Łabędź.“

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pewnego wieczora słońce skryło się wspaniale po za falami, krwisto czerwone posmugi obłoków pobladły na horyzoncie na którym zaczynała się wyłaniać tarcza księżyca: Laura wsparta o parapet wpatrywała się roztargnionem okiem w spienione do koła statku nurty. Długo tak stała rozmarzona, nareszcie podniosłszy głowę ujrzała stojącego obok siebie Gabryela; spojrzenia ich skrzyżowały się, zarumieniona spuściła oczy. Mrok zapadał, wkrótce ciemność zakryła obłoki, zaległa morze i pomost fregaty na którym oboje nieruchomie stali obok siebie. I długo, długo nie rzekli ani słówka, zobopólne milczenie wypowiadało wzajemne uczucia. Nareszcie Gabryel ujął dłoń Laury i ścisnąwszy zatrzymał w swojej; nie widziała ale czuła utkwiony w siebie wzrok jego, gdyż płonący w nich ogień zdawał się przebijać ciemność. Nagle przyciągnął ją ku sobie i rękę jej przycisnął do swego serca; wyrwała ją prędko i odsunęła się drżąc cała.

— Przebacz mi, przebacz! wyszeptał Gabryel, który drżał także jak drzewo wstrząsane wichrem; przebacz! powtórzył raz jeszcze padając na kolana, ja cię kocham nad życie!...

Laura nie udawała, nie taiła swych uczuć; miłość przepełniająca jej serce wezbrała na zewnątrz potokiem krótkich oderwanych wyrazów, tłumionych gwałtownością miotającego nią uczucia. Gabryel klęcząc słuchał słów tych wpatrując się w nią z ubóstwieniem.

I tak sami wśród ciemności i ciszy zapomnieli o świecie, o czasie, niby dwa cienie w wiekuistej zjednoczone nocy: wtem niebo się rozjaśniło i przy tym odbłysku światła ujrzeli jakby czarny profil jakiejś postaci znikającej po za masztem. Laura podniosłszy głowę zobaczyła to straszne, jakby ku niej zwrócone widmo; zadrżała i zrywając się wydała krzyk stłumiony odbiegając na stronę. Gabryel pobiegł za nią, lecz zamiast ukochanej dziewicy, postrzegł przed sobą groźną postać Debory...

Przez kilka sekund stali tak naprzeciw siebie; on w postaci tygrysa gotowego rzucić się na wroga co mu wydarł jego zdobycz — ona sztywna, wyprostowana, z pogardliwym wyrazem twarzy, a oczy jej ciskały błyskawice zimne jak ostrze sztyletu. Wtem nagle, zanim Gabryel zdołał jakiekolwiek wymówić słowo, Debora przesunęła się jak strzała i znikła w ciemności.

Odetchnął, jakby od strasznej wyzwolony zmory; wyniosła jego postać wyprostowała się, ale cały drżał jeszcze jak w paroksyzmie febry. To nagłe pojawienie się Debory straszną myśl wzbudziło w jego głowie — w tej chwili, za najlżejszem podnieceniem, zdolny był popełnić szaleństwo, może nawet występek. Odetchnął nareszcie i przeszedł kilka kroków; chłodne nocne powietrze, huk wzburzonych wiatrem pędzonych bałwanów, milczenie pasujące w około, otrzeźwiły go nareszcie i uspokoiły. Zastanowił się — teraz już nie widział w Deborze jedynie zawady, nienawistnej istoty stającej między nim a szczęściem, ale zarazem kobietę którą przyrzekł poślubić i którą śmiertelnie obraził.

Danvers nie miał dokładnego pojęcia o tem co ludzie żyjący wśród ucywilizowanego świata nazywają „punktem honoru;“ wiedział że jest fałsz i prawda, dobro i zło — ale poza nimi znajdowała się dla niego jakaś nieokreślona przestrzeń, której mierzyć nigdy mu nawet nie przyszło do głowy. A jednak na tym właśnie gruncie stawiały go obecnie okoliczności. Należało rozstrzygnąć czem jest podobna umowa, czego domagać się ma prawo, i czy zerwanie jej jest nikczemnością a poszanowanie głupstwem?... Ach! gdyby Debora była mężczyzną!.. gdyby mężczyzna chciał mu wydrzeć miłość Laury!... jakże umiałby sobie radzić, Cóż łatwiejszego jak wyzwać i zabić rywala?... I silna prawica jego zdawała się szukać w ciemności niewidzialnego przeciwnika aby go zgnieść i powalić, — ale walczyć z kobietą, z kobietą której się wyrządziło zniewagę, pojmował że tu gniew jest bezpożyteczny, brutalstwo wstrętne i czuć zarazem niemożebność uległości — to okropnie...

Takie myśli przesuwały się gorączkowo w umyśle Danvers'a. W tem nagle księżyc wyjrzał z pomiędzy zasłaniających go obłoków i blade promienie jego oświetliły miejsce które przed paru godzinami zajmowała Laura. Laura! zawołał w miłosnem uniesieniu, i samo wymówienie tego imienia jakby czarodziejską siłą uspokoiło burzę jego serca. Wolnym krokiem zbliżył się do tego miejsca w niemem zachwyceniu i pierwsze brzaski dnia zastały go tak zatopionego w głębokiej zadumie.

Ale jakież były uczucia Debory, czy i o jakiej myślała zemście? takie pytania stawiała sobie w myśli drżąca jej rywalka, i z niewysłowionym niepokojem probowała nazajutrz wyczytać to w zmienionej twarzy miss Mallinson, — ale ta rzuciła na nią tylko jedno zajadłe spojrzenie pod którem biedna dziewczyna zbladła i zadrżała, a potem już nie patrzyła na nią. Cały ten dzień od obiadu, Debora przesiedziała w swoim pokoju a następnych zaledwie na chwilę wychodziła na pomost. Milcząca i znikająca jak widmo, unikała stroniących od niej Gabryela i Laury, — zdawałoby się że zapomniała o nich.

Danvers przygotowany był na stoczenie walki i prawie pragnął ją wyzwać, ale to nieprzewidziane postępowanie Debory pomieszało mu szyki i zachwiało w postanowieniu. Z początku zamierzał rozmówić się otwarcie, wyznać jej szczerze swoją miłość dla Laury i prosić aby zerwała urojone węzły, które ich krępują ale nie łączą; byłoby to postąpienie najuczciwsze, najzgodniejsze z prawym i szczerym charakterem jego — ale widać Debora nie chciała tego dopuścić i dla tego rozmyślnie unikała spotkania z Gabryelem, którego teraz widywała tylko przy obiedzie, do którego prócz nich trojga zasiadali oficerowie statku. Laura, która obawiała się natychmiastowego wybuchu gniewu miss Mallinson, odetchnęła swobodniej dzięki tej zwodniczej ciszy; Gabryel nie łudził się ale nie miał odwagi wynalezienia drogi wyjścia z fałszywego położenia. Obok Laury godziny upływały mu tak błogo, i po cóż wyzywać zajście mające koniecznie wpłynąć na wzajemne ich stosunki, pocóż wyzywać burzę drzemiącą jeszcze? Mijały dnie, mijały tygodnie; — jak ptaki zapominające o swej niewoli gdy przestaną dotykać pręcików klatki, tak Gabryel i Laura kosztowali spokojnie upajającego ich szczęscia, zapominając o niewidzialnych, śledzących ich oczach Debory; co wieczór schodzili się na pomoście i siadali w cieniu masztu lub żagla, co dzień z nadejściem ranka pragnęli powrotu wieczoru. A *Czarny Łabędź* powoli posuwał się coraz dalej i dalej, już to zatrzymując się mimowolnie na nieruchomem morzu, już czekając aby przychylny wiatr ożywił jego żagle, to znów popchnięty podmuchem burzy, walczył ze spienionemi falami, będącemi istnym obrazem wrzących namiętności ludzkich.

V

Spodziewano się wylądować w Kapie za dni kilka. Cała osada zajęła się czynnie przygotowaniem pak które miały być wyładowane w kolonii afrykańskiej. Liczono na wiatr przyjazny; ale od północy atmosfera nasycona została gorącemi wyziewami, żagle opadły; morze skutkiem fosforesencyi, wydawało się jak niezmierzona pożarem zajęta płaszczyzna. Noc zapadła, najlżejszy wietrzyk czuć się nie dawał; gęsta chmura przysłoniła wielkie, podzwrotnikowe gwiazdy; księżyc dopiero w godzinę po północy miał się pokazać na niebie; ciemność zaległa dokoła okrętu unoszącego się lekko na płomiennych falach. Tylko sternik i Danvers czuwali na pomoście. Sternik owinięty w płaszcz ze smołowego płótna, z głową zwieszoną na piersi i ręką wspartą na kole rudla, zdrzymnął się licząc na to iż w razie podniesienia się najmniejszego wiatru, silniejsze szarpnięcie koła zbudziłoby go niebawem. Nad głową marynarza paliła się przytwierdzona do masztu latarnia, a czerwonawe jej światło rzucało swe odbłyski na opalone jego czoło.

Danvers przechadzał się wielkim, niespokojnym krokiem; za najlżejszym szelestem zatrzymywał się i nadstawiał ucha, to znów z gorączkowym pośpiechem zaglądał do różnych części okrętu. Już przeszło od godziny oczekiwał na Laurę, co mogło być powodem że dotąd nie przyszła? Straszny niepokój miotał jego sercem.

Nareszcie usłyszał lekkie kroki i szelest sukni...

— Tyżeś to, Lauro moja ukochana?... czekam tak dawno!...

I pobiegł naprzeciw idącej.

— Przemów do mnie! tak stęskniłem się do głosu twego... Ach!—Krzyk ten wydał Danvers gdy kobieta której rękę pochwycił i uścisnął wyszarpnęła mu ją prędko, a padający promień światła latarni ukazał mu bladą i groźną twarz Debory. Cofnął się przerażony.

— To ja, to nie *ta* na którą czekałeś, rzekła pogardliwie Debora.

Zapomniałeś o łączących nas przyrzeczeniach... i sądziłeś że to tak długo potrwa, że pozwolę znieważać się bezkarnie... Szaleńcze! mógłżeś myśleć że nie potrafię się zemścić.. że wam dozwolę pobrać się i spokojnie używać szczęścia... że kobieta którą przeniosłeś nademnie zostanie żoną twoją... nigdy! nigdy!... raczej...

— Deboro, przerwał Danvers, który zdołał nareszcie zapanować nad sobą — posłuchaj mnie zanim nieodwołalne wyrzeczesz słowa... Niebo mi świadkiem iż jeźlim cię obraził, to zupełnie bezwiednie i mimowolnie; czyż otaczające nas fale mogą oprzeć się wstrząsającej niemi burzy? Czy niosący nas okręt może nakazać spokój wzburzonym żywiołom?... Przysięgam ci, Deboro, że serce moje równie było bezsilne względem ogarniającej go namiętności, jak te fale względem burzy, okręt względem wichrów... Sam nie wiem jak i dla czego pokochałem — ale kocham *ją!* kocham nieprzepartą, bezgraniczną miłością. Całe życie, wszystkie uczucia moje ześrodkowały się w tej miłości... Nie bądź okrutną, Deboro! miej litość nade mną!... szczęścia mego nie wyrzucaj mi jak zbrodni... cóż ci przyjdzie z naszej rozpaczy?... Deboro! Deboro! błagam cię, zaklinam, powiedz słówko, wróć mi wolność, a znajdziesz we mnie nieograniczenie poświęconego przyjaciela, najprzywiązańszego brata!...

— A! nieszczęsny! ty chyba pragniesz abym jej wydarła życie! zawołała zrywając się Debora. Ach! powtórz mi jeszcze że ją kochasz, a ilekroć to usłyszę przeklinać ją będę. Ty! ty mówisz mi o waszej rozpaczy, a czy pomyślałeś o mojej?... Czy pomyśleliście o niej oboje, schodząc się tu codziennie i zamieniając pod mojem okiem wasze wyznania i przysięgi?..... O byłam cierpliwą; dozwalałam wam upajać się czarą szczęścia, ale postanowiłam sobie zatruć ją w oznaczonej godzinie... Godzina ta wybiła. Gabryelu, nie zapominaj świętych łączących nas przyrzeczeń, honor nie dozwala ci łamać danego słowa... Nie probój nawet wymódz abym cię od niego zwolniła. Wyrzec się Laury bo ona nigdy nie będzie twoją żoną... czy słyszysz?... nigdy!

— Deboro, odparł umiarkowanym jeszcze, ale już stopniowo gniewem drżącym głosem, przyznaję że cierpisz przeze mnie, alem ja temu nie winien, to proste zrządzenie okrutnego, niesprawiedliwego przeznaczenia. Mogęż temu zaradzić, mogęż je odmienić?... Jak świat należy do Boga tak serce moje należy do Laury. Wiesz, że gdyś oznajmiła chęć oddania mi swej ręki, powiedziałem ci szczerze że cię kocham, że nigdy potem nie czyniłem ci najlżejszych wyznań miłości — tak więc łączy nas tylko zimne przyzwolenie... Niech więc natura i prawda odzyskają prawa swoje... Deboro, błagam cię raz jeszcze, zwróć mi, zwróć mi dane słowo.

Zbliżył się do niej i wlepił w nią wpółbłagalne, wpółgroźne spojrzenie.

— Nie! nie! nie! tysiąc razy nie! odrzekła.

— Nie! powtórzył prostując się i krzyżując ręce na piersiach, odpychasz moją prośbę, powtarzasz: nie!... a więc ja teraz mówię ci: tak! tysiąc razy: tak być musi... kocham Laurę i nikt i nic rozłączyć mnie z nią nie zdoła, a ciebie nienawidzę! tak, powtarzam nienawidzę i pogardzam, bo narzucając mi się, sama siebie szanować nie umiesz. A! sądziłaś że postawisz na swojem powtarzając mi szumne wyrazy „honor" „przyrzeczenie" o! nie znasz mnie jeszcze! nie wiesz że te wyrazy wymyślone na obałamucanie siebie i drugich tak mało mnie obchodzą, jak cała ta nasza rozmowa tego śpiącego tam w kącie biedaka. Ja nie wzrosłem i nie wychowałem się wśród tak zwanego ucywilizowanego świata, i podobniejszy jestem do dzikich zwierząt mego przybranego kraju niż do tych ludzi jakich mam spotkać w dawnej ojczyznie; kocham i nienawidzę jak one... czy słyszysz jak one?...

Każda inna kobieta zadrżałaby przerażona ujrzawszy straszny wzrok jego, usłyszawszy głos jakim wymówił te słowa—ale Debora była równie jak on dzieckiem i wychowanką dzikiego prawie świata, to też nie ulękła się, nie drgnęła nawet.

— Ha! zruciłeś nareszcie maskę! zawołała z wybuchem szatańskiej ironii, — tem lepiej, nie cierpię fałszu. Ty mnie, ja ciebie teraz nienawidzę! ale walka nierówna — tyś mężczyzna, jam kobieta... Patrz, zawołała pociągając go do brzegu okrętu—noc taka czarna a morze tak głębokie... ślad zbrodni zniknąłby w niem w jednej chwili. Wszak dzikie zwierzęta umieją zabijać — nie wahaj się! będziesz wolnym!...

I silnie pochwyciła go za rękę.

— Precz ode mnie, szaleńska pokuso! krzyknął wyrywając rękę precz! precz!... i drżał cały jak liść osiny.

— Ha! boisz się zbrodni! mówiła prędko przysuwając się do niego — boisz się aby ona nie stanęła między „wami" niecne tchórzostwo!... ale darmo! zbrodni uniknąć niepodobna... jest ona teraz konieczną... nieuchronną...

W tem po nad ich głowami rozległ się odgłos otwierania lufcika, po tem cichy a stopniowo coraz głośniejszy śpiew Laury. Jak człowiek któregoby wezwanie anioła zbudziło ze snu strasznego, tak Danvers oprzytomniał w jednej chwili i ukrywszy twarz w dłonie upadł na kolana, wznosząc oczy ku niebu.

Gdy nareszcie odwrócił głowę, już Debory nie było na pokładzie.

VI.

Zostawszy sam wśród nocnej ciszy i ciemności, gdy przycichły ostatnie tony śpiewu Laury, Danvers uczuł straszny dreszcz przerażenia. Wszak myślą o mało nie był zabójcą. Przypominał sobie że przed chwilą patrzył na to bezdenne morze a szatański poszept podniecał go do zbrodni. Nie posunął się do niej, ale czyż nie pragnął w głębi duszy aby wzburzone fale pochłonęły ofiarę której rzucić im nie miał odwagi? Ogarnęła go straszna rozpacz. Czegoż mógł się spodziewać, czego oczekiwać od losu i od siebie samego? Czyż teraz mógł jeszcze marzyć o szczęściu, mogłaż mu je dać miłość którą Debora przeklinała nieustannie i nieustanną groziła zemstą?... Przed chwilą jeszcze, w obec Debory, zaślepiała go namiętność, łudził się co do praw swoich, przeceniał swoje siły. Teraz pojmował że położenie jego jest bez wyjścia, że żywa czy umarła, Debora zawsze stać będzie między nim a Laurą. Zaciemniło mu się w oczach.

— O ja nieszczęśliwy! wyszeptał mierząc okiem bezdenną głębię morza, czyż nie lepiej raz skończyć z takiem życiem?...

Ale Laura! Laura! Na samą imienia jej wzmiankę serce jego gwałtownie bić zaczęło. Ach! patrzeć na nią choćby godzinę tylko, trzymać dłoń jej w swej dłoni, oczami zatonąć w jej oczach—obok takich rozkoszy czemże są wszelkie objawy nienawiści, wszelkie niepokoje zakłóconego sumienia?...

Ale Laura, cóż jej gotuje ta fatalna miłość? Jakież szczęście mógł zapewnić kobiecie która z całą ufnością oddała mu serce?... Teraz już ściągnął na nią nieubłaganą nienawiść... I wyrzeczone przed chwilą przez Deborę słowo, ognistemi zgłoskami wypisywały się w jego myśli.

„Niepodobna uniknąć zbrodni... jest ona teraz konieczną."

Jak dawno słowa te były wymówione, czy upłynęła minuta czy godzina, nie umiał zdać sobie sprawy. A co mogło stać się od owego czasu... czemu Laura nie przychodzi?... Ogarnął go przestrach niewysłowiony; pochwycił latarnię zawieszoną na maszcie i drżącym krokiem zszedł ze schodów prowadzących do kajut. Na lewo i na prawo ciągnął się długi korytarz.

— Lauro! wołał przytłumionym głosem, Lauro! Żadnej odpowiedzi i słyszał tylko plusk morskiej fali.

— Lauro! zawołał głośniej, przysuwając się do drzwi jej kajuty.

Przez dziurkę od klucza słabe przedzierało się światełko; Gabryel przyłożył do niej oko,— Laura spała spokojnie. Przejście z okropnej obawy do niewysłowionej radości, było tak nagłe, tak gwałtowne, że Gabryel zachwiał się i zmuszony był oprzeć się o ścianę. Więc nic złego ją nie spotkało, spała tak spokojnie, może marzyła o nim... I znowu pochylił się do dziurki od klucza i napawał się widokiem Laury. Spała ubrana; widać rzuciła się na łóżko oczekując chwili gdy miała zejść do oczekującego na nią Gabryela; małą rączkę założyła pod głowę; zwoje włosów rozruciły się po poduszce, pierś unosił czysty oddech.

Krew uderzyła mu do głowy; można byłoby policzyć gwałtowne uderzenie serca. Gdyby wejść, gdyby módz czuwać nad jej bezpieczeństwem... lecz w jednej chwili powstał wyrzucając sobie że śmiał spojrzeniem niewinny sen jej podchwycić i odsuwając się położył się na ziemi aby strzedz jej drzwi zamkniętych.

Tu pod progiem pokoju kobiety którą całą ukochał duszą, nadzieja odżyła w jego sercu, zaczął prawie wierzyć znów w szczęście. Zasnął i we śnie coraz inne widział obrazy. Śniło mu się że klęczał u stóp Laury, jak owego wieczora gdy jej wyznał miłość swoją; piękne drzewo roztaczało nad nimi zielone swe gałęzie, — w tem nagle liście zaczęły czernieć i słyszał jakby skrzyp, ogarniającego je płomienia. Przebudzony zerwał się na nogi, ale i na jawie słyszał suchy i głuchy trzask jakby buzującego ognia. Chciał pobiedz i potknął się o ogromnego szczura, za którym niezwłocznie cała ich wyleciała gromada. Ich przerażona postawa, obojętność na jego obecność, zwiastowały że uciekają przed niebezpieczeństwem. Ale jakie ono być mogło? W tem przez szpary podłogi zaczęły się przedzierać jakby obłoczki białego dymu. Straszne przeczucie zbudziło się w jego duszy; przeskakując po kilka schodów wybiegł na pomost — tu zastał sternika nasłuchującego; w twarzy marynarza malowało się niewysłowione przerażenie, w oczach obłęd prawie.

W tej chwili rozległ się trzask głośniejszy, za nim drugi i trzeci a nareszcie kłęby dymu wydobyły się przez podłogę z głębi okrętu.

— Ogień! krzyknęli oba.

Ogień! — kto podobnego krzyku nie słyszał na okręcie, zgrozy jego pojąć nie zdoła. Widzieć powstający i wzmagający się pożar; walczyć z nim o każdą piędź okrętu; cofać się krok za krokiem, widzieć że umierać trzeba i tylko pozostaje wybierać między ogniem a wodą; nie mieć innego schronienia jak tylko deski palące się pod nogami lub Ocean którego fale nie zdolne są zagasić pożaru — szamotać się i walczyć z dwoma sprzecznemi z sobą żywiołami do jednego dążącemi celu: zagłady marnego ich wroga — człowieka.

W jednej chwili bezład i wrzawa zapanowały na okręcie; zewsząd ukazywały się przerażone twarze,

wszędzie rozlegał się złowieszczy krzyk: „Ogień!" jakby bębnienie na alarm. Oficerowie i majtkowie, na wpół ubrani uwijali się na okręcie. Wśród nich wpadł nagi murzyn; źrenice jego rozszerzone przestrachem błyszczały w ciemności jak żarzące węgle. Ogromna małpa urwała się z łańcucha i wpadła na pokład wyjąc i szalone wyprawiając skoki. Nareszcie głos komendanta przywołał do porządku rozpierzchłą gromadę.

— Pozapalać latarnie przy masztach! krzyknął porucznik.

Rozkaz wykonano natychmiast, co pozwoliło rozpatrzeć się i przedsięwziąść pierwsze środki ratunku.

(*d. c. n.*)

Odczyty publiczne.

Odczyt pp. Pepłowskiego i Ochorowicza.

Wraz z czwartą prelekcyą prof. hr. Tarnowskiego zakończyła się serya odczytów przeznaczonych na dochód Osad Rolnych, a pozostało jeszcze kilka staraniem Tow. Dobroczynności urządzonych, które chwilowo przerwane przez Wielkanocne Święta, wznowione zostały w poniedziałek przewodni, odczytem p. Adolfa Pepłowskiego „O prawach kobiety." Rzecz prosta iż przedmiot ten mocno zajął piękniejszą połowę audytorium i liczne ściągnął grono słuchaczek. Przekonane że usłyszą głos wymowny, żarliwie broniący ich sprawy, omyliły się bardzo, słyszały wprawdzie głos wymowny, ale żarliwie dowodzący tylko doskonałości Kodeksu Napoleona, który, według słów prelegenta, „kobiecie nic do życzenia nie pozostawia." To optymistyczne twierdzenie dowodził p. Pepłowski z całą wprawą biegłego i wymownego adwokata, utrzymując że „kwestya kobieca" która w XIX wieku w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Francyi i innych krajach zachodu się wyrodziła, u nas nie ma racyi bytu, gdyż nie tylko kodeks we wszystkich wypadkach broni praw kobiety jako dziewicy, żony i matki, ale nasz odwieczny obyczaj poszanowaniem i czcią ją otacza, stawiając jakby na jakim piedestale świętości „z którego właśnie tylko tak zwana *emancypacya* strącićby ją mogła."

Stanąwszy na tej wysokości kodeksowo-prawnej, szanowny prelegent zbyt jednostronnie na przedmiot się zapatrywał, niewidział a raczej nie chciał widzieć, w jak okropnem nieraz położeniu bywa kobieta w niedobranem małżeństwie, zmuszona ulegać temu którego kodeks za *głowę rodziny* uważa, a który i ją i tę rodzinę w przepaść zatracenia prowadzi: albowiem i ta, która zmuszona pracować na życie, ma do wyboru albo śmierć głodową dla zbyt zacieśnionego pola zarobkowania, albo rzucenie się w otchłań najhaniebniejszego życia. Bo czem że jest na prawdę rozsądnie pojęta kwestya kobieca? Domaganie się gruntowniejszego i wszechstronniejszego ukształcenia, mogącego podać środki do wyrobienia sobie samoistnego, niezależnego bytu, równouprawnienia w stosunkach rodzinnych, oraz rozszerzenia pola działalności kobiecej w tych zawodach, które dla nich odpowiedniemi być mogą. Czyż domagania się takie słusznemi nie są? Zaiste piękną była pochwała matrony rzymskiej, którą i do naszych niewiast dawniejszych stosowano, a na którą prelegent życzy aby i dzisiejsze niewiasty przedewszystkiem wzgląd miały: „żyła nieskalaną, domu strzegła, len przędła." A jednak jakaż ogromna różnica pomiędzy niewiastami starego Rzymu, a dawnemi polskiemi matronami! Ileż te ostatnie po większej części posiadały wyższe ukształcenie, jak panowie mężowie udawali się do nich po radę w najtrudniejszych wypadkach.

Ludzkość nieustannie kroczy naprzód, coraz nowe rodzą się potrzeby, prawo które za Napoleona I mogło być dobrem, już nie wystarczającem może być teraz, a kwestya kobieca pomimo apologii kodeksu, tak wymownie przez szanownego prelegenta wypowiedzianej, samą siłą konieczności i ducha czasu osiągnie to co do jej rozwiązania koniecznie jest potrzebnem.

Po tej prelekcyi w odstępie jednodniowym nastąpiły dwa odczyty D-ra Fil. Juliana Ochorowicza „O twórczości poetyckiej." Liczna i doborowa publiczność zebrała się na nie, pociągnięta zarówno wyborem przedmiotu jak i znanym talentem samego prelegenta.

Ciekawa to niezmiernie i cały ogół inteligentny bardzo interesująca kwestya, poznać jakie procesa psychiczne odbywają się w duszy poety gdy tworzy arcydzieło i czem jest sama istota natchnienia. W dawniejszych czasach usiłowano, jak mówił prelegent, wprowadzać prawidła i gotowe niby podawać przepisy na twórczość poetycką; dzisiejsze zaś usiłowania dążą jedynie do tego, ażeby módz zrozumieć sam proces tworzenia i zdać sobie sprawę z niego.

Ale nowe przepisy przez dawnych teoretyków podawane, nie rościły sobie nawet pretensyi do wyjaśnienia istoty twórczości i natchnienia, ściągały się one tylko do artystycznych form owej twórczości; teraźniejsza zaś chęć zrozumienia jej, jest niczem innem jak tylko pretensyą zgłębienia samej natury twórczości poetyckiej, która zapewne jest jedną z form niepojętej dla nas, nieśmiertelnej siły twórczej, wywołującej tak w materyalnym jak i duchowym świecie, nieustanne zjawiska. Chcieć wytłomaczyć twórczość poetycką za pomocą czynników takich jak wrażliwość, uczuciowość, wyobraźnia, fantazya, którymi poeci więcej niż inni ludzie mogą być obdarzeni, jeszcze nie rozwiązuje kwestyi i bynajmniej jaśniejszą nie czyni. A cóż dopiero gdy idzie o *natchnienie*, o tę iskierkę ducha Bożego, w którą najdawniejsi nawet wierzyli wieszcze, którą każdy prawdziwy poeta czuje w sobie gdy tworzy, jako dar zstępujący z góry, co jeszcze i stary Homer miał na myśli, gdy w Odyssei każe głosić pieśniarzowi że śpiewa nie to coby chciał, ale co mu Jowisz w usta kładnie; i o której z taką prostotą a z taką prawdą, jeden z naszych poetów się wyraża: „Zwykle ja nie wiem sam, co w następnym wierszu napiszę: Bo gdy mi wrzącą pierś poetyczny szał rozkołysze, Potężny jakiś duch, nie mój, lecz inny, gości we mnie, Pan moich słów."

Tych parę wierszy jakże wymownie, jak prawdziwie określają stan duszy poety w chwilach twórczości pod wpływem natchnienia, pod wpływem wyższego, obcego mu ducha, który na chwilę wstąpił w niego. Tych kilka słów bliższemi są prawdy, łatwiej do przekonania trafiają, aniżeli pozytywna analiza psychicznych procesów, jakie w chwili twórczości odbywać się muszą.

Co zaś do samej istoty natchnienia, to pomimo całej biegłości swej dyalektyki, szanowny prelegent kwestyi tej nie rozwiązał wcale, ominął ją raczej, i przekonani jesteśmy iż większość słuchaczy wraz z nami pozostała przy zdaniu Libelta: że potęga natchnienia może być tylko przedmiotem podziwu, ale z pod wszelkiej usuwa się analizy.

W wielu ustępach tych obu odczytów nie podzielając zdań p. Ochorowicza, przyznać musimy iż były bardzo starannie opracowane i pięknie wypowiedziane, a mnóstwo cytat i przytaczanych wyjątków mile je urozmaicały, tem powabniejszemi je czyniąc, i okazując głęboką erudycyę prelegenta.

Przegląd literacki.

Opowiadania historyczne przez D-ra A. J. Lwów 1876.

(Dokończenie).

Czwarte opowiadanie „Na kresach" zawiera kilka szkiców z czasów konfederacyi barskiej. Autor wypowiada niezbyt przychylny, a nawet potępiający sąd o tej konfederacyi, łącząc ją z tak odmiennie dotychczas ocenianą i inaczej pojmowaną konfederacyą targowicką. Pan A. J. mniema, że wyrok potępienia, który dotknął tę ostatnią, powinien spaść także i na pierwszą, gdyż, według jego zdania, w konfederacyi barskiej brali wprawdzie udział niektórzy o dobro kraju dbający, ale większość dbała tylko o siebie; powiada nadto, że prawie ci wszyscy, którzy wzrośli w zasadach konfederacyi barskiej, zawiązali potem targowicką; ta ostatnia była córką pierwszej jak i jej członkowie byli synami konfederatów barskich. Pogląd ten obiecuje autor uzasadnić obszerniej w przyszłości. Co do nas, zgadzamy się chętnie, że cechą obydwóch konfederacyi był uparty konserwatyzm, w pierwszej osłonięty szatą religijną, w drugiej — z przymieszką złudzeń innego rodzaju. Wszelako były i ważne różnice, choć i to prawda, że rozmaite okoliczności wpłynęły na odmienną ocenę obu zjawisk i że sądu o nich historya jeszcze nie wydała, a może nawet i na sąd bezstronny jeszcze zawcześnie. Tymczasem autor maluje nam kilka scen z dziejów barszczyzny, pokazuje szlachtę przeciwnych obozów (czasem nawet rodzonych braci i bliższych krewnych) zasiadającą u wspólnego ogniska, modlącą się w jednym kościele, a nazajutrz walczącą pomiędzy sobą orężnie. Za prolog opowiadania służy zabawna przygoda chocimskiego baszy, którego w gościnie szlacheckiej spojono i zelżono, za co później Turek wziął krwawy odwet przy pomocy Tatarów. Epilog zaś stanowi wzruszająca historya Stefana Makowieckiego, którego po powrocie z długoletniej niewoli nie poznawano i z domu wypchnięto, aż w końcu dawny jego towarzysz bojowy, włościanin, Panas daje o nim świadectwo. Wszelako uczynimy niniejszemu opowiadaniu ten zarzut, że autor mógłby potrącić o ważniejsze wypadki z dziejów konfederacyi i wyprowadzić słynniejsze osobistości, gdyż wprowadzone przez niego, bądź co bądź, niewielką odegrały rolę.

Opowiadania piąte i szóste „Dwór Tulczyński" i „Losy pięknej kobiety" zawierają najwięcej szczegółów charakterystycznych, tyczących się epoki najsmutniejszej w dziejach krajowych; żywo tu stają nam przed oczami ostateczny upadek kraju i, jak to zwykle bywa, obraz towarzyszących upadkowi bakchanalii społeczeństwa i upadku obyczajowego. Autor opowiada nam główne zarysy żywota i dziejów słynnego Szczęsnego Potockiego, pana na Tulczynie i ostatniej jego żony Zofii greczynki, na cześć której założone ogrody Zofiówki opiewał Trembecki. Życie na bogatszym od królewskiego dworze tego najbogatszego w Rzeczypospolitej pana (posiadał 3 miliony morgów ziemi ukraińskiej, na której obecnie mieszka 600,000 ludności), złowrogi jego udział w konfederacyi targowickiej, dzieje dobrowolnego wygnania, historya jego stosunków familijnych, pełna oryginalnych i niezawsze budujących szczegółów, stosunki jego z Petersburgiem, charakterystyka głównych satelitów tulczyńskiego dworu — wszystko to naszkicowane, choć na pozór do-

ryweczo, ale gruntownie i jaskrawo. Autor po części uwalnia Szczęsnego od ciążącego na nim przekleństwa potomności, mówiąc, co już i historya przyznawać zaczyna, że nieświadomość i złudzenie popchnęły go do fatalnych w następstwach czynów. Słusznie przytem powiada, że niepodobna bezstronnemu historykowi obwiniać jednego lub kilku za błędy lub winy wielu, co jednak właśnie i u nas i wszędzie u ludzi zdarzać się zwykło. Wiadomo, że tragiczny los pierwszej żony Szczęsnego (Gertrudy Komorowskiej), utopionej z rozkazu dumnego teścia, dostarczył Malczewskiemu wątku do jego „Maryi"; wprawdzie wyidealizowany Wacław, bohater tej powieści, mało jest podobnym do historycznej postaci Szczęsnego, ale to pewna, że tragiczna ta przygoda popchnęła Szczęsnego do wielu wybryków, może nawet wpłynęła i na jego działalność polityczną. Do końca życia Szczęsny zachował miłość dla pierwszej swej żony i portret jej kazał włożyć ze sobą do grobu. Autor podnosi drugi także dodatni rys charakteru tego magnata: jego sprawiedliwość i wspaniałomyślność względem poddanych, którzy w jego dobrach zawsze zażywali dobrobytu. Ostatnie dni życia Szczęsny spędził ponuro, smutny i milczący; postać to niewątpliwie tragiczna—może bezwiedne narzędzie opatrznościowego *fatum* raczej niż świadomy winowajca.

Ostatnia żona Szczęsnego Zofia Greczynka burzliwe także i smutne przechodziła koleje: sprzedana w Konstantynopolu przez własną matkę, była potem żoną wzmiankowanego powyżej młodszego Witta, który *ustąpił* ją za 2 miliony złotych Szczęsnemu jeszcze przed nastąpionym rozwodem, po którym została żoną Potockiego. Po śmierci męża uratowała ogromne majątki i dzieci od ruiny i zyskała rozgłos dobroczynnością i życiem przykładnem.

Ostatnie opowiadanie „Tynna w XVIII wieku" opisuje dwór właściciela tego majątku słynnego księcia Nassau-Siegen. Jest to ten sam' książę de Nassau, który, jak mówi Mickiewicz (w Panu Tadeuszu) polował z Rejtanem na niedźwiedzie „pośród nalibockich lasów". Pochodząc z panującego w Niemczech książęcego domu, książę Karol był nadto grandem hiszpańskim i generałem francuzkim, walczył na morzu Baltyckiem ze Szwedami i z Turkami na morzu Czarnem jako admirał rosyjski, podróżował po Indyach i Oceanii, gdzie podobno był przez czas jakiś w miłosnych stosunkach z królową jednej z wysp, odbył tysiące pojedynków i wreszcie zakończył pełny przygód żywot, jako szlachcic polski na Podolu. Pozostała po nim pamiątka także i w Warszawie — nazwa pałacu, który był kiedyś jego własnością. (Góry Dynasowskie na Sewerynowie). W Tynnie księztwo otaczali się cudzoziemcami z różnych stron świata przybywającymi, głównie emigrantami francuzkimi i przy ich pomocy cywilizowali szlachtę podolską. Pod tym względem dwór Tynneński odegrał ważną rolę na Podolu, jako ognisko cywilizacyi zachodniej, czyli właściwiej, zachodniego zepsucia. Autor jaskrawo maluje obrazy tego zepsucia, które, wraz z gitarą i sentymentalizmem francuzkim, szerzyło się przeważnie między kobietami. Mnóstwo tam smutnych bardzo zarysów. Szczególniej zasługuje na uwagę, jako wynik owych wpływów, upadek życia rodzinnego i niesłychane dawniej szerzenie się rozwodów. Generał Witt, pierwszy mąż Zofii Potockiej, występuje tu raz jeszcze, jako mąż młodej Ostrorożanki — jednej z wychowanek Tynneńskiego dworu. Dzieje pożycia tej niedobranej pary i zarysy obyczajów generała są smutne i oburzające. Gdy Szczęsny Potocki miał powody, przed samą śmiercią, być niezadowolonym z Zofii, generał ofiarował się mu ustąpić i drugą swoją żonę, daleko młodszą, jak pisał, i za daleko tańsze pieniądze! Wiele innych szczegółów i charakterystycznych zarysów, nie da się tu powtórzyć. Tak to w wielu miejscach kraju w godzinę najsmutniejszego upadku kwitnęły w najlepsze Baltazarowe uczty i zabawy Sardanapalowe; upojone szałem tłumy tańczyły na gruzach i pośród zniszczenia!

Podane streszczenie daje miarę obfitości zawartych w książce przedmiotów i szczegółów i tego interesu, który zdolną jest obudzić. Co się tyczy wad dzieła zwrócimy uwagę na pewną rozwlekłość i na dający się niekiedy dostrzegać brak porządnego toku opowiadania, często nie płynącego równo, ale zbaczającego, cofającego się i wijącego się, że tak powiemy, wężykowato. Wady te szczególniej dają się dostrzegać w I-em Opowiadaniu i w dwóch wymienionych, poświęconych dziejom Szczęsnego i Zofii. Niekiedy może z tych wad usprawiedliwić autora bogactwo materyałów, które miał pod ręką i obfitość nasuwających się mimowolnie zbliżeń i porównań, przyczyn i skutków. Język poprawny, styl barwny i zajmujący, a jednak naturalny. Zauważyliśmy kilka błędów jak np. „opuścił miasto, oddając *go* (zamiast *je*) na pastwę rabunku" (str. 16); „zręczność" zam. *sposobność* (str. 145), „*przepłacić*" (np. zdrowiem) zam. *przypłacić* (wszędzie np. na str 231). Korekta w ogóle dość staranna, co w wydaniach lwowskiej firmy Gubrynowicza i Schmidta niezawsze się zdarza. *Sz.*

Artykuł nadesłany.

Błogosławionym niech będzie dobrej woli. Podobny w najciaśniejszym zakresie najskromniejszego położenia, zawsze stanowić będzie wybitnie pożyteczną jednostkę swego społeczeństwa. Cóż dopiero powiedzieć można o człowieku, który talentem i pracą, zdobył sobie głos w pośród bliźnich, głos który codziennie odbijać się będzie w tysiącach serc ludzkich. O! podobnemu człowiekowi dzięki się należą, dzięki serdeczne i szczere, jakie pomimowolnie wydobywają się z głębi duszy jednej kobiety, dziękującej w imieniu swej płci B., autorowi krytyki w Kuryerze Warszawskim na prelekcyą adwokata Pepłowskiego: *O prawach kobiety.*

Ciężko mi było na sercu, iż w pośród nas nie znajdzie człowieka wyższego ducha, któryby sam będąc postawionym po stronie uprzywilejowanych, umiał wniknąć w ciernistą dolę strony mniej szczęśliwej. Jakże równie ciężko było wysłuchać w tym czasie, — gdy zaledwie poczęła świtać jakaś wątła nadzieja lepszego losu dla kobiety, dwóch głosów, jeden po drugim, rzucających gromy na istoty ludzkie i tak już dość zdeptane. A przecież, pomimo *wszystkich* i pomimo *wszystkiego*, w niejednej jest dusza oburzająca się na los podobny: w niejednej tleje hart i energia szamocąca się *marnie* z niewidzialnemi okowy ubezwładniającego wychowania i położenia. Niejedna jest matką dziewcząteк uczących się z zapałem; mordująca umysł swój, jakby im też można w przyszłości, wobec prawie niepodobieństwa, lżejszem cokolwiek uczynić życie. O! tym ostatnim szczególniej kobietom dwie prelekcye, tak pana Beni, jak pana Pepłowskiego, wydobyły gorzkie łzy żalu, co się stoczyły na dziecięce główki ich córek. Bezbronna matka bezbronne dziewczę tuliła do łona sądząc, że już jej nie osłoni od ciosów, zgotowanych żelazną dłonią przestarzałych zwyczajów starego społeczeństwa. Nie dziw się więc panie B. Szanowny autorze krytyki, iż ta, w której serce wlałeś nową otuchę, choćby samym objawem swego współczucia, iż nie wszystko stracone, skoro się znajdują jeszcze sprawiedliwi. Całą też duszą błogosławić będzie energiczne twe słowo w obronie połowy cierpiącej ludzkości wypowiedziane.

Jedna z Wielu.

Nowe wydawnictwa.

Rady dla młodych mężatek, przez Dra Jana Stelle Sawickiego, wyszły we Lwowie nakładem księgarni Władysława Bełzy. Jest to książeczka niewielka, treściwie napisana, głównie matki mająca na celu i sposób zachowania się ich od najpierwszej chwili aż do nauki dziecięcia i rozbudzenia się w niem rozwagi i zastanowienia.

W tych dniach opuściła prasę niewielka książeczka p. t. „Czarna Róża" nowella, napisana bezimiennie. Powiastka to humorystyczna, a treść jej zupełnie prawdziwa, wzięta ze świata miasteczkowego, a mianowicie z mało jeszcze w powieściarstwie naszem dotykanej sfery nauczycielskiej. Prawdy, życia i werwy tu niemało: oryginalny ten utwór polecamy czytelnikom. Cena książeczki kop. 60.

Opis ryciny kolorowej.

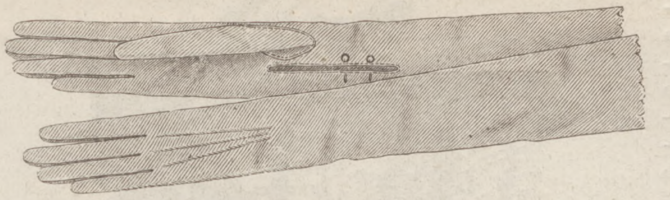
Fig. 1. Ubranie spacerowe z dolmanowym paletotem. Suknia z długą tuniką wykończona z granatowego jedwabnego repsu, ozdobiona plisowaniem, szeroką frendzlą i haftowanym galonem. Półdług: paletot z rękawami dolmanowemi, z kaszmiru w jedwabny adamaszkowy deseń, przybrany kosztowną pasmanteryą, siatkową frendzlą i sutemi kokardami. Kapelusz słomkowy ubrany wstążką i kwiatami.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Spódnica z brązowej faille przyozdobiona plisowaniem i rulonikami, dopełniona jest vêtement formą prinçesse z tyłu zręcznie podpiętem, odszytem z jasnego wełnianego adamaszkowego materyału, z rękawami jedwabnemi. Garnirunek stanowią plisy, kokardy z faille i siatkowa wełniana frendzla. Kapelusz z wysoką szpiczastą główką, pleciony z piaskowej słomki, przybrany takąż i niebieską wstążką i girlandką z kwiatu lipowego i niezapominajek.

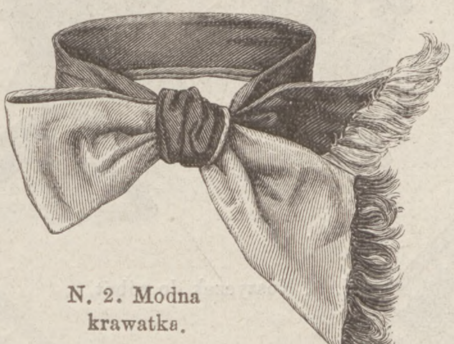
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 14(26) Апрѣля 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Długie rękawiczki nieprzecinane.



N. 2. Modna krawatka.

Opis do N. 17.

(Dokończenie.)



N. 3. Sukieneczka dla małej dziewczynki.

N. 23 — 24. Kwadrat i szlak do kołdry szydełkowej.

Materyał: bawełna estramadura N. 6½.

Kwadrat odrobiony jest szydełkiem oczkami śc. gładkim ściegiem, małe odznaczające się kwadraciki robią się ściegiem pikowym a ząbki odstające z brzegów są z o. pow. Robotę zacząć trzeba od środka 4 o. śc. złączonemi z sobą: w pierwszym rzędzie robić po 2 o. śc. w każde z 4 o. w drugim co drugie o. robi się 3 w jedno i to stanowi rogi kwadratu na których zawsze zajmuje się 3 oczka. W piątym rzędzie wypadają cztery pierwsze muszki czyli ząbeczki odstające, potrzeba na każdą przeciągnąć nitkę przez zwierzchnią część o. poprzedniego rzędu, zrobić 4 o. pow. i robiąc następne oczko rzędu przerobić go razem z będącą na szydełku pentelką. W szóstym rzędzie zaczyna się ścieg pikowy kwadratów, od jednego oczka wypadającego tuż nad pierwszemi muszkami, w następnych rzędach rozszerza się stopniowo a po 10 rzędach znów zwęża się odpowiednio. Oczy odznaczające się wypukło w ściegu pikowym zajmują się za obie nitki oczka poprzedniego rzędu, a oczka płaskie robią się zwyczajnie zajmując tylko za tylną nitkę oczka; ząbki brzeżne trzeba robić co drugi rząd w sposób wyżej wskazany. Szlak w oczka ażurowe wskazany na rycinie 24 robi się tam i napowrót zaczynając na 34 o. a stopniowe rozszerzanie się zębów tworzą cztery o. pow. dodawane co drugi rząd u dołu aż do środka zęba, gdyż w drugiej połowie znów co drugi ząb skraca się o 4 oczka.



N. 5—6. Suknie princesse dla młodych panien.



N. 7. Suknia princesse zdobna szeroką frendzlą. Przód przedstawia ryc. 18.

N. 25—26. Dwa fartuszki batystowe.

Nie podajemy szczegółowego opisu gdyż wykończyć je łatwo podług rycin i osobistego gustu, a krój jest tenże sam jaki od lat paru podawaliśmy w Tygodniku.

N. 27 i 32. Paletocik wiosenny skośno zapinany. Krój jak do ryciny 4 w N-rze 10.



N. 4. Sukieneczka dla chłopczyka.

Ciężki reps jedwabny jest materyałem najmodniejszym na okrycia wiosenne i taki właśnie użyty na paletocik przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 27 i 32. Plecy składają się z kilku części, przody niewcinane zapinają się skośno; długość paletota wynosi z przodu 74, z tyłu 85 cent., dolny obwód u dołu 150 cent. wynosi. Przyozdobienie stanowi plisa 5 i 7 cent. szeroka, z brzegów oszyta grubemi wypustkami ze sznurkiem, koloru lipowego; wykrój szyi otacza plisowanie 8 cent. szerokie, również wypustką oszyte. Kieszonki są 16 cent. długie a 22 szerokie; mankiety są 22 cent. długie; kokardy przytwierdzone szmuklerskiemi rozetami są z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 28—31. Trzy kapelusze dla małych dziewczynek.

N. 28—29. Kapelusik z kaszmiru lub batystu, z plisowaniem muślinowem.

Na 4½ cent. szerokie rondko kapotki, potrzeba prostego kawałka muślinu 100



N. 8. Suknia princesse do wieczorowego ubrania.

cent. długiego, zszytego z brzegów poprzecznych i z plisowanego do 60 cent. Przy górnym brzegu podszywa się drucik lub cieniutką trzcinkę, dolny przed zfałdowaniem można oszyć tiulikiem lub kolorową pliseczką. Do tego rondka przyczepia się denko kapotki 5 cent. wysokie, ułożone na sztywnym tiulu; potrzeba na nie owalnego kawałka batystu 36 cent. szerokiego, 92 długiego podłożonego różowym perkalem. Denko z brzegów marszczy się w ten sposób iż naokoło zostaje falbanka 2 cent. szeroka. Kokardy przypinają się podług ryc. 28—29.

N. 30. Kapotka z kaszmiru lub batystu ozdobiona haftem i koronką.



N. 11. Monogram na chustkę od nosa.

Główka o $1^1/_2$ cent. szersza od główki do ryc. 28 kraje się z prostego kawałka i zdobi zwierzchu trzema paskami haftowanej wszywki $2^1/_2$ cent. szerokiej z których środkowy jest 17 cent. a boczne po 12 cent. długie. Karczek dodany z tyłu, podszyty kolorowym fularem, układa się ze skośnego kawałka 54 cent długiego, szerokiego oszytego koronką zwróconą do siebie. Kokardy z wstążki $2^1/_2$ cent. szerokiej.

N. 31. Kapelusik okrągły z wysoką główką.

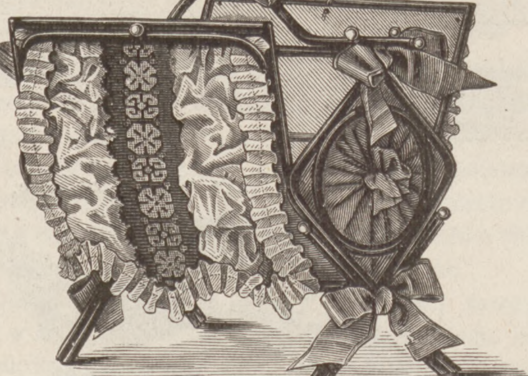
Filcowy kapelusik przybrany jest materyą crême, bukietem polnych kwiatów i klamrą metalową.

N. 33—36. Kwiat z piór.

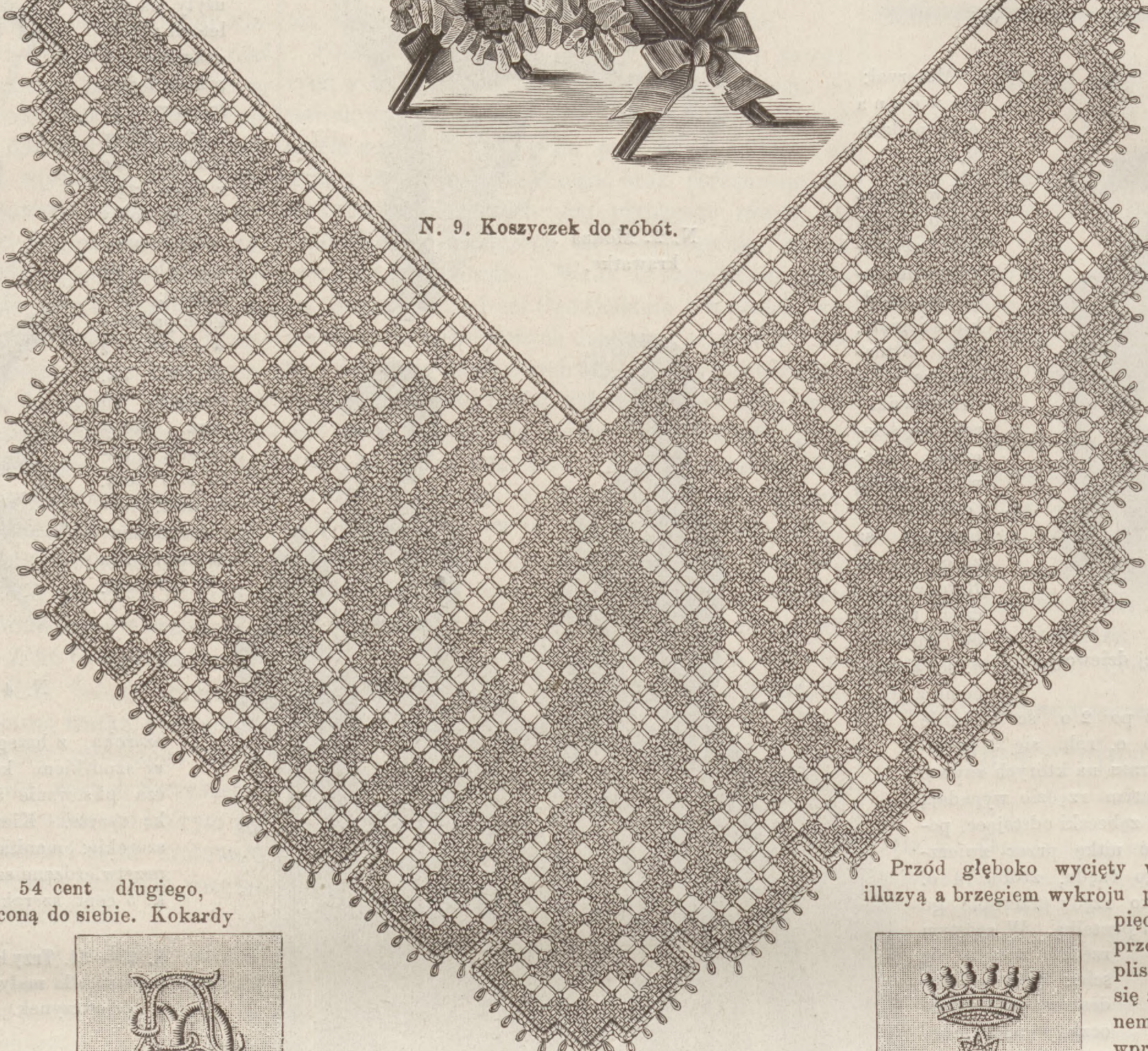
Załączamy dziś gałązkę krokusu, piętnastą z kolei w liczbie kwiatów z piór jakie od czasu do czasu opisujemy w Tygodniku. Jest ona koloru lila i układa się z piór gęsich ufarbowanych fijołkową farbą anilinową. Malowanie odbywa się w ten sposób iż kilka kropel aniliny rozpuszczonej w spirytusie wpuszcza do przegotowanej wody i macza w niej piórka zwilżone spirytusem póki nie nabiorą koloru. Ciemniejsze żyłkii prążki dodają się pendzelkiem na ufarbowanych listkach.

N. 37. Okrycie wiosenne.

Kilka lat temu modna forma okrycia zwana talmą znów tego roku wchodzi w użycie na okrycia wiosenne. Model załączony na ryc. 37 jest z miękkiego mięsistego materyału wełnianego przybrany u dołu plisą z atłasową wypustką i szeroką wełnianą frendzlą. Kokarda z długiemi końcami z wstążki repsowej 7 cent. szerokiej.



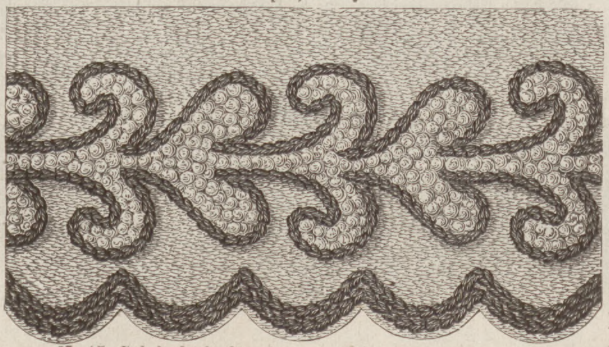
N. 9. Koszyczek do robót.



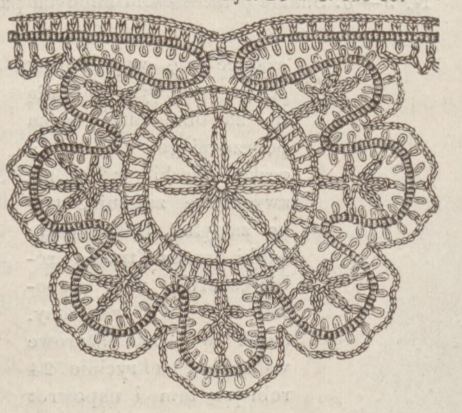
N. 10. Siatka gipiurowa wyszyta ściegiem matowym (filet antique) do ryc. 19.



N. 13. Monogram.



N. 15. Szlak do kaftanika ryc. 26 w N-rze 15.



N. 16. Koronka szydełkowa z mignardisse.



N. 17. Ubranie domowe z vêtement.

O ubiorach.

Zanim dzienniki paryzkie prześlą nam szczegóły o nowościach wiosennych, zanim powracające z zagranicy właścicielki pierwszorzędnych magazynów przedstawiają najświeższe modele, podajemy czytelniczkom opis kilku sukien do wyprawy, wykończonej w magazynie p. Penkali



N. 12. Cyfra do znaczenia bielizny.

podług najmodniejszych w obecnej chwili fasonów.

Suknia ślubna princesse z tyłu zapinana, z wielkim trenem zplisowanym w skośno idące fałdy, wykończona była z białego kaszmiru i naszyta u dołu trzema marszczonemi falbaneczkami. Przód głęboko wycięty w carré suto zagarnirowany illuzyą a brzegiem wykroju przybrany fantazyjnem przepięciem z materyi. Na sukni przerzucone dwie poprzecznie plisowane draperye schodzące się z tyłu pod szarfami dublowanemi materyą a przedłużonemi wprost od pleców princesse.

Suknia z materyi luisine (rodzaj materyi z dużym połyskiem koloru lapisowego w ciemniejsze cieniowane pasy, przystrojona materyą prune miała vêtement formą princesse z boczkami związanemi jak szarfy, podszytemi materyą prune; przody



N. 14. Monogram

zapięte na ozdobne szmuklerskie guziki; brzegi vêtement oszyte szeroką frendzlą. Dół sukni otaczały falbaneczki prune i lapis i takaż plisowana riusza.

Czarna jedwabna z dużym trenem zakończona falbaną plisowaną w małe i duże fałdy. Tunika z każdego boku ułożona odmiennie, była z prawej strony przypięta szmuklerskiemi guzikami do bryta złożonego z boku w plisowane fałdy, rozpuszczone dalej,



N. 18. Suknia princesse zdobna bogatą frendzlą. Patrz ryc. 7.

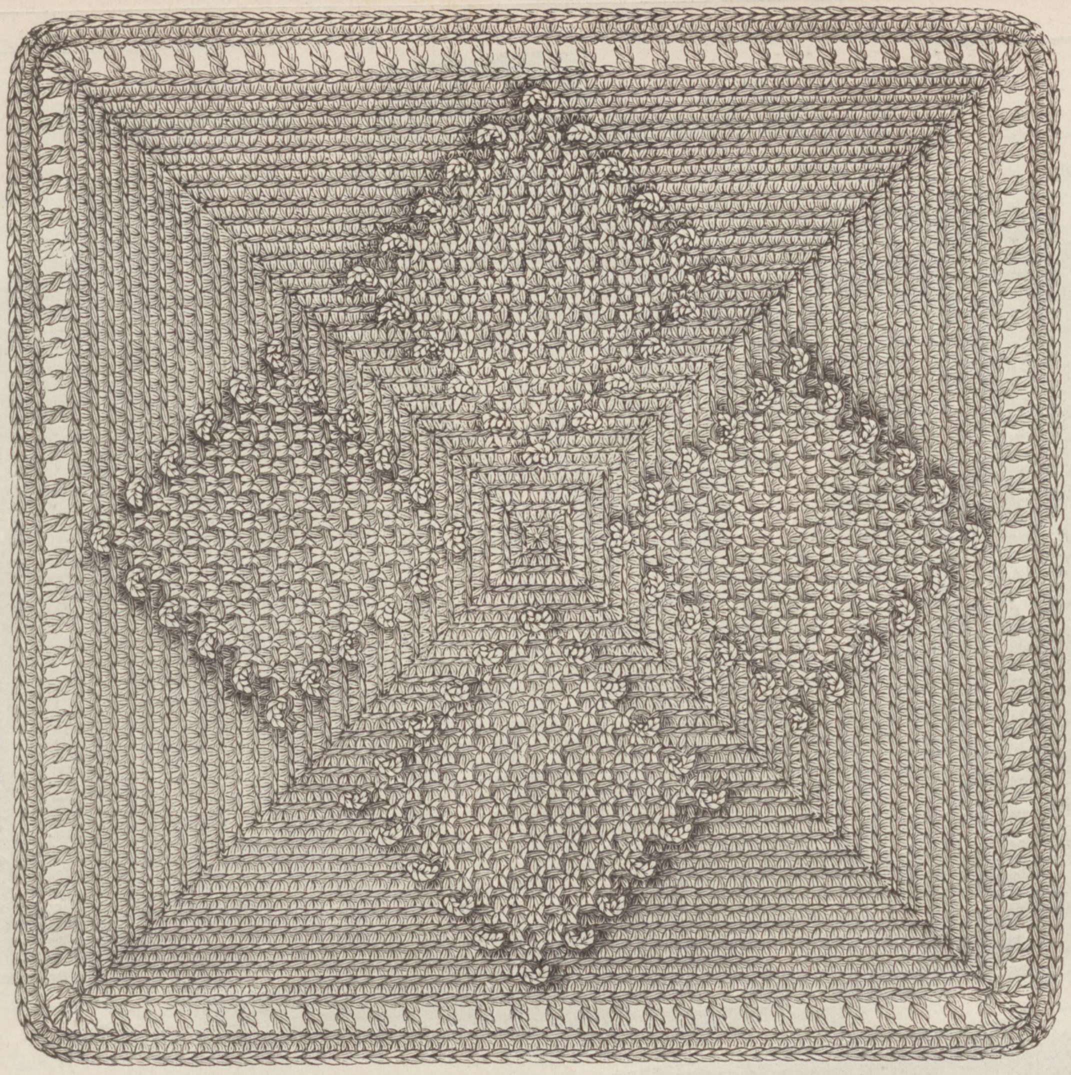
który zachodził aż do tyłu i był przytwierdzony kokardą do frakowej baskiny stanika. Lewy bok tuniki przemarszczony w drobne fałdy podchodził pod bryt tylny. Brzegi tuniki oszyte frendzlą szenelową. Inna suknia odszyta z blado-niebieskiej materyi miała u dołu marszczone falbanki, przemarszczane w odstępach w bufeczki. Tunika upięta wprost na sukni,



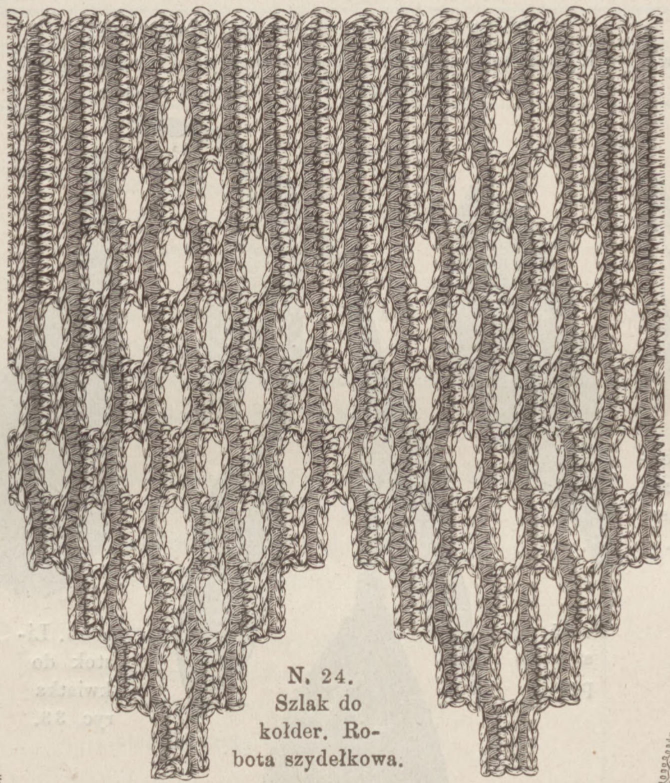
N. 19. Krawatka z siatką gipiurową patrz ryc. 10.

tworzyła dwie jedna nad drugą idące draperye oszyte koronką, przemarszczane z boków a z tyłu spadające w tren, przysłonięty od góry brytem ściętym w ząb, oszytym koronką. Dwa staniki jeden dekoltowany z krótkiemi rękawkami, drugi wycięty z przodu w carré z rękawkami półdługiemi.

Czwarta jedwabna suknia z faille koloru lapis, zakończona czteremi falbaneczkami. Dwie draperye przerzucone na krzyż, zaplisowane w fałdy, przepięte były z tyłu wielkiemi kokardami z aksamitu cardinal. Brzegi zdobne frendzlą szmuklerską; stanik i rękawy odpowiednio przybrane aksamitem.



N. 23. Kwadrat szydełkowy do kołder. Patrz ryc. 24.



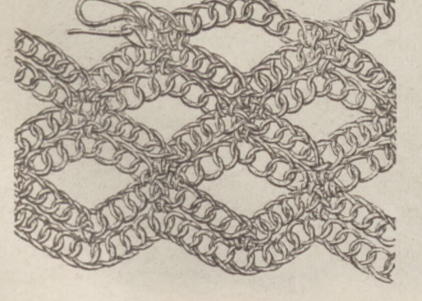
N. 24. Szlak do kołder. Robota szydełkowa.

Bardzo gustowne ubranie wizytowe stanowiła suknia indigo z materyału crêpe. U dołu były falbaneczki plisowane krepowa i jedwabna, nad tem szeroka plisa jedwabna z wypustkami i naglówek plisowany. Stanik z plecami z crêpe złożonemi z kilku części i z podwójnemi jedwabnemi boczkami, miał przody krepowe przedłużone w dwa szale, krzyżujące się w dwa zęby a z tyłu spięte pod brytem wysuwającym się z pod baskiny. Szeroka frendzla jedwabna oszywała brzegi.



N. 25. Fartuszek batystowy zdobny tiulową wszywką, koronką i szlaczkiem wyszytym krzyżykami.

Kostium podróżny z włochatego angielskiego materyału w pasy miał spódnicę bez żadnego przybrania. Vêtement zapięte na dwa rzędy szyldkretowych guzików, do wyjściana ulicę dopełniało się żakietą z tegoż materyału, podszytą flanelką i zapinającą się na jeden rząd.



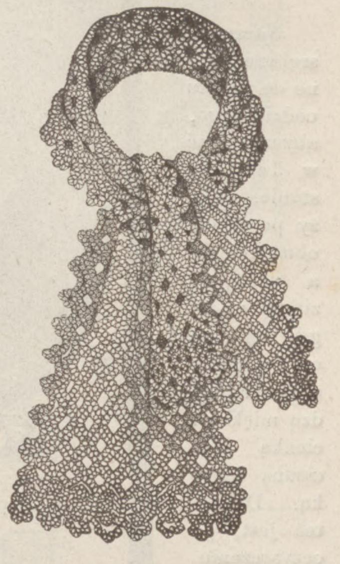
N. 21. Wzór roboty tła do ryc. 20.



N. 27. Paletocik wiosenny skośno zapinany. Patrz ryc. 32.

Negliż ranny był z wełnianego materyału w deseń adamaszkowy w guście perskim. Przody zapięte na guziki z konchy perłowej; kołnierz, klapy i mankiety z niebieskiego aksamitu.

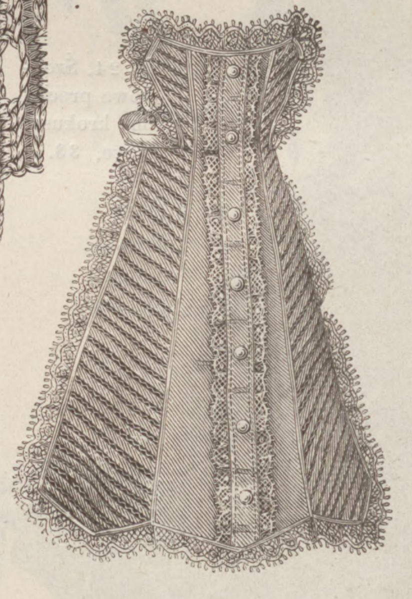
Uprzedzając szczegóły jakie



N. 20. Krawatka. robiona szydełkiem. Patrz ryc. 21—22.

w dalszych zamieściliśmy numerach, nadmieniamy tylko, iż w materyałach wiosennych utrzymują się jeszcze wszelkie kolory nie oznaczane, matowe i blade z tą tylko różnicą, iż na przybrania, kokardy i wypustki będą brane kolory żywe, jasne i jak najświetniejsze.

Do najmodniejszych zaliczają się: ponsowy *wulkaniczny* i *Wezuwiusz* przypominające kolor płomieni ognistych: pierwszy mieniący się niebieskawo, drugi żółtawo ale jednak jaskrawo czerwony; żółtawe kolory i cienie jak: *souci*, *jonquille* i *mandarin* które przechodząc w ciemniejsze odcienie zmieniają się w kolor *caroubier*, *nacarat*. Kolor różowy mocno mieniący się w żółty otrzymał nazwę *cuivre;* zielonawożółtawy kolor *asperge* (szparagowy) zaledwie różni się od używanego obecnie lipowego (tilleul). Do parasolików strojnych modne są żywe kolory na podszewkę, do mniej wytwornych i en-tout-cas tylko szlaki przerabiane w różne kolory. Na paletoty i okrycia modna materya czarna jak i w roku zeszłym, oprócz niej noszone będą szewioty gładkie i w paski, materyały nieprzemakalne na długie paletoty tudzież cienkie sukno w jasnych kolorach.



N. 26. Fartuszek batystowy z boczkami z ażurowego materyału oszyty koronką hiszpańską.

Forma pleców składana z kilku części przechodzi od sukien do okryć, jak to przedstawiają modele załączone w Tygodniku.



N. 22. Ząbki szydełkowe do ryc. 20.



N. 28 — 31. Kapelusze dla dziewczynek.

N. 28. Kapotka z muślinowem plisowaniem. Patrz ryc. 29.

N. 29. Kapotka z muślinowem plisowaniem. Przód do ryc. 27.

N. 31. Kapelusz filcowy z wysoką główką.

N. 30. Kapotka ozdobiona wszywką i koronką.

Przepisy kuchenne.

Utrzymanie w czystości sreber stołowych.

Naczynia srebrne brane do użytku codziennego, aby utrzymać w dobrym stanie, należy po użyciu obmyć ciepłą a następnie zimną wodą; gdy nieco osiąkną, obetrzeć bardzo miękką i cienką płócienną ścierką. Dobrze też jest, po oczyszczeniu ich z tłustości lub innych przyległych cząstek, raz w tydzień namoczyć przez kilka godzin w zimnej wodzie, a potem szczoteczkę miękką, po umyciu mydłem, oczyścić i czysto znowu opłukać. Można dla nadania poloru, srebru, zamiast zwykle używanej kredy miałkiej, użyć palonego, sproszkowanego i przesianego jeleniego rogu, maczając w nim skórkę od zamszowej rękawiczki, i tem wycierać srebro a następnie czystą lnianą chustą. Dobrze jest sproszkowanej kremortartary posypać na zamsz i tem czyścić, lub rozpuścić ją w miękkiej wodzie, naczynia srebrne posypać otrębami, gąbkę maczać w tej wodzie i srebro niąwycierać.

Czyszczenie miedzi i mosiądzu.

Najlepiej jest czyścić okopcone naczynia miedziane popiołem a następnie cegłą tartą, przesianą przez gęste sitko: dla nadania zaś naczyniom miedzianym lub mosiężnym pięknego koloru, po należytem oczyszczeniu, rozrobić z trochą oleju proszek zwany „wapno angielskie" i tem czyścić, maczając w niem kawałek sukna, a drugi w suchym proszku, wreszcie czystym kawałkiem sukna wycierać do czysta. Przez podobne czyszczenie nabędą poloru i połysku. Szczególniej tym proszkiem dobrze się czyszczą lampy mosiężne i samowary. Dobrze jest jeszcze czyścić rądle, po oszorowaniu ich, barszczem otrębianym lub z żytniej mąki z solą lub serwatką a potem miałką cegłą. Wapno angielskie kupuje się w składzie aptecznym, którego słoik za 15 kopiejek, może na cały rok służyć: bo się go bierze po trochu.

—o—



N. 24. Środkowe preciki do krokusu. ryc. 33.



N. 35. Listek do pączka.



N. 33. Krokus z piór. Patrz ryc. 34—36.



N. 36. Listek do kwiatka ryc. 33.



N. 32. Paletocik wiosenny. Patrz ryc. 27.



N. 37. Okrycie wiosenne formą talmy.